

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Jerzy Romuald Milicz
CENA UTRACONEGO CZASU



SAMOTNA DZIEWCZYNA

Ocalałych domów było tutaj niewiele, resztę stanowiły rumowiska, miejscami porośnięte krzewami i mchem. W ruinach gnieździły się wrony, żerowały rozpasane szczury, czasem przemykał zdziczały kot.

Koczowali tu chętnie włóczędzy i blada zabłąkanym, którzy trafili w te strony.

„Martwy rejon” — tak nazywali milicjanci ten obszar, rozciągający się wzdłuż wiślanego brzegu, pomiędzy ulicami Źródłowa, i Radną. I tam właśnie — w

„martwym rejonie”, miał pełnić służbę sierżant Arkadiusz Bednarz.

Sierżant wyszedł z komisariatu wkrótce po dziesiątej. Kwietniowa noc była chłodna i mglista. Ściskając pepeszę schodził Bednarską w dół, w stronę Wybrzeża Kościuszkowskiego. V wylotu ulicy kręciła się jakaś kobieta, ale rychło stracił ją z oczu. Poza tym było pusto. Dotarł wreszcie do Wisły.

Koryto rzeki we mgle ledwie się rysowało. Gdzieś w głębi szumiała wezbrana woda. Bednarz wsłuchiwał się w jej miarowy rytm.

Nagle odżyły wspomnienia. Przed trzema laty, w połowie stycznia 1943 roku.

brał udział w forsowaniu tej rzeki.

Jeszcze chwilę trwał w zadumie, później powolnym krokiem ruszył znowu przed siebie. Nic opodal ślimaka przy ulicy Karowej spostrzegł idącą z przeciwka kobietę. Kiedy podeszła bliżej, oświetlił ją.

Ale dziewczyna! — przemknęło mu przez głowę.

Przystanęła, zagadnęła o ulicę Radną. Skwapliwie wskazał jej drogę.

— Czy mogę pana jeszcze o coś prosić? — zapytała z pewną dozą kokieterii.

— Jestem do usług! — odparł szarmancko.

Tak tutaj ciemno i pusto... Zareagował uśmiechem.

— Dobrze panu się śmiać, skoro jest pan mężczyzną i ma broń! Ciekawa jestem jak by pan wyglądał na moim miejscu: samotna dziewczyna, pośrodku nocy, wśród ruin... Wyobraża pan sobie, ile najadłam się strachu?

— Chętnie panią odprowadzę!

W odpowiedzi klasnęła w dłonie i zanim się spostrzegł, pocałowała go w policzek.

W sposobie zachowania się dziewczyny było jednak coś nienaturalnego.

Niecierpliwie rozglądała się, jakby czegoś szukała.

Muszę wy badać tę ślicznotkę — pomyślał sierżant.

Przyjechałam w odwiedziny do kuzynki — wyjaśniała. — Pociąg spóźnił się aż o dwie godziny.

Miałam do wyboru: czekać do rana na dworcu albo samotnie wyruszyć na miasto. Wybrałam to drugie.

Kiedy zapytał, dlaczego nie wzięła taksówki — nie bardzo wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją pytanie o walizkę.

Walizka? Ach, tak!... Zostawiłam ją w przechowalni na dworcu.

Sierżant wiedział już, że dziewczyna coś kręci, ale nie domyślał się, jakie są tego powody. Ponieważ chorąży Kwiatek — dowódca plutonu — stale przypominał, żeby zachowywać środki

ostrożności, postanowił ją wylegitymować. Dziewczyna miała dokumenty w porządku. Zrobiło mu się trochę głupio. Dobrze, że znaleźli się już właśnie na Radnej. Miał teraz okazję, aby pożegnać się i odejść.

Przy ulicy Radnej stały tylko trzy nie zniszczono domy. Spytał więc, w którym z nich mieszka kuzyn-ka. Dziewczyna bez wahania wskazała dużą trzypiętrową kamienicę oznaczoną numerem dwunastym. Przed bramą podał jej rękę na pożegnanie.

— Już chce pan odejść? Nie możemy tak się rozstać... Drobne nieporozumienie, jakie zaszło, wie pan, co mam na myśli, to legitymowanie

— powiedziała nienaturalnie głośno — wybaczam.. Zapraszam pana do mieszkania na filiżankę gorącej

herbaty. Dobrze panu zrobi, zaręczam.

Sierżant nie oparł się temu zaproszeniu.

— Pójdę pierwsza! — powiedziała równie głośno jak poprzednio.

Kiedy wszedł do bramy, nagle gdzieś z tyłu błysnęło ostre światło.

Równocześnie poczuł uderzenie w

tył głowy...

Wiadomość o wypadku na ulicy Radnej zaalarmowała władze bezpieczeństwa. Przed stołeczną komendę milicji co parę minut podjeżdżały samochody, przywożąc zerwanych ze snu oficerów. Wkrótce po północy prawie cały sztab był już na miejscu. Zebrani z niecierpliwością oczekiwali przybycia kapitana Jacka Zaremba — naczelnika wydziału służby śledczej, który zdążył już być na Radnej, a przed paroma minutami telefonował ze szpitala, że niebawem przyjedzie.

I oto usłyszano jego kroki w sekretariacie komendanta. Kiedy tylko przekroczył próg pokoju — ze wszystkich stron posypały się pytania: Co z Bednarzem, żyje? Jak go napadli? Czy wiesz już coś o sprawcach?

— Niestety, sierżant nie żyje — rozpoczął relację Zaremba. — Zmarł na stole operacyjnym jeszcze przed rozpoczęciem zabiegu. Doznał biedak tyłu obrażeń głowy i kręgow szyjnych, że nie można go było uratować.

Według opinii lekarzy obrażenia powstały od uderzeń tępym narzędziem.

— Bandyta — mówił dalej Zaremba — zrabował Bednarzowi automat, pistolet i notatnik służbowy.

Reszty ekwipunku nie ruszył. Powstaje pytanie, dlaczego napastnik zadał aż tyle ciosów, skoro do zdobycia broni wystarczyło jedno ogłuszające uderzenie. Jest prawdopodobne, że sierżant mógł znać sprawcę lub wcześniej go legitymować.

— Jak właściwie znaleziono naszego Bednarza? — zapytał Zarembę komendant.

—

Mieszkańców zaalarmował jakiś facet, który później zbiegł. Widocznie obawiał się, aby nie posądzono go o współudział w napadzie. Z ustaleniem jego tożsamości może być trochę kłopotu. Myślę jednak, że znajdzie się tam jakaś osoba, która widziała lub słyszała, kto przed północą przyszedł do domu podchmielony.

— Z czego wnioskujecie, że ten ktoś był pijany? — podchwycił zastępca komendanta.

— W bramie, nie opodał miejsca, gdzie leżał zmasakrowany Bednarz, ktoś zwymiotował. Było tam również parę wypalonych zapalek i nie zapalony papieros, ślady te zdają się świadczyć, że pijaka zemdliło dopiero w bramie.

Później, kiedy doszedł już do siebie, zapragnął być może zapalić papierosa i wtedy...

Wyobrażam sobie, jak się przelał. Ale, kierowany ludzkim odruchem, przed ucieczką obudził

lokatorów, którzy troskliwie zaopiekowali się rannym i zaraz zawiadomili komisariat.

— Szczerze mi żal tego Bednarza — powiedział poruszony komendant — ale nie pora teraz na sentymenty. Co zamierzacie, kapitanie?

— Na razie wiemy bardzo mało, stanowczo za mało, żeby wskazać kierunek poszukiwania sprawcy.

Zacniemy od ustalenia, co Bednarz robił po wyjściu z komisariatu. Dalsza czynność to ustalenie osoby pijaka. A dalej zobaczymy...

— A nie przyszło wam do głowy, że zamach spowodowany był względami politycznymi? — wtrącił się do rozmowy milczący dotąd szef Urzędu Bezpieczeństwa.

— Nie sądzę — zareplikował żywo Zaremba. — Przecież obywatel pułkownik wie najlepiej, że podziemie ma teraz broni pod dostatkiem!

— Racja, kapitanie Zaremba — powiedział szef Urzędu. I zwracając się do komendanta MO oświadczył: — Wprawdzie lo Urząd, jak wiemy, ma obowiązek prowadzenia śledstw w sprawach zabójstw milicjantów, myślę jednak, że w tym przypadku możemy sprawę ze spokojem powierzyć kapitanowi Zarembie, który nawiąże ścisłą łączność z moim wydziałem śledczym.

INSPEKTOR W CIEMNYCH OKULARACH

Postawną brunetkę o nie przygasłej jeszcze urodzie znali wszyscy stali bywalcy popularnej kawiarni

„Kopciuszek” w Alejach Jerozolimskich. Marię Cichocką, zwaną przez przyjaciół Majką, tytułowano tutaj

„pani kierowniczo”, gdyż prowadziła duży sklep jubilerski na Nowym Świecie.

Majka miała opinię Casanovy w spódnicy. Jej liczne flirty i romanse, często z żonatymi mężczyznami, wywoływały rozmaite komentarze. Wszelkie epitety i złośliwe uwagi pani Majka kwitowała uśmiechem lub po prostu machnięciem ręki i - dalej robiła swoje.

Od kilku miesięcy w stylu życia Cichockiej nastąpiły jednak nieoczekiwane zmiany: przestała uwodzić mężczyzn, rzadko na jej twarzy zakwitał uśmiech.

Tylko najbliżsi wiedzieli, jakie są powody tej nagłej me-tamorfozy. Miała ona związek z osobą Janka: był pierwszym chłopcem, którego naprawdę pokochała. Poznała go właśnie tutaj — w „Kopciuszku” — jesienią ubiegłego roku. Wkrótce — mimo znacznej różnicy wieku — zostali małżeństwem. Ich związek trwał krótko. Janka potrafiła ciężarówka. Zmarł po kilku dniach.

Odtąd życie Majki straciło wszelki sens. Zachowywała się tak, jakby jedyną jej pociechą była ta kawia-renka. — miejsce poznania Janka. Odwiedzała ją codziennie, choć dobrze przecież wiedziała, że już nigdy go tutaj nie spotka.

We wtorek, szóstego kwietnia. Majka jak zwykle wstąpiła rano do

„Kopciuszka”. Dziwnym trafem

„ich” stolik nie był zajęty. Obok siedziała jasnowłosa dziewczyna o niebieskich oczach, bardzo dobrze ubrana. Zwraçały uwagę jej wypielęgowane ręce, wystudiowane, pełne wdzięku ruchy.

Dziewczyna najwidoczniej odczuła, że jest przez Majkę obserwowana. W kącikach jej ust pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiešek zadowolenia.

Majka słodząc kawę zerknęła na zegarek, była dziesiąta dwadzieścia. Do otwarcia sklepu miała jeszcze trochę czasu. Rozejrzała się wokoło.

Do kawiarni wszedł właśnie elegancki, wysoki mężczyzna w popielatym ubraniu. Byстрыm wzrokiem ogarnął salę. Zdecydowanym krokiem podszedł do

pięknej blondynki przy sąsiednim stoliku. Wymienili grzecznościowe zwroty.

Był czymś wyraźnie podniecony. Mówił szybko, żywo gestykulując. - Z

pojedyn-czych słów i fragmentów zdań Majka wywnioskowała, że opowiadający wpadł w jakieś poważne tarapaty. Z

przejęciem mówił o kontroli w sklepie, którego jest kierownikiem, o nieprzejednanej postawie inspektora w ciemnych okularach. Blondynka słuchała w milczeniu. Majka natomiast coraz pilniej nadstawiała ucha.

Przecież i ona była kierowniczką sklepu...

Nadejście kelnerki wywołało chwilowe zamieszanie. Mężczyzna umilkł.

Majka ponownie spojrzała na zegarek. Była wyraźnie Zaskoczona, że czas tak szybko minął. Pośpiesznie uregulowała rachunek i niemal wybiegła na ulicę.

Irena Krawczykówna zaczęła się już niepokoić. Majka była zawsze taka punktualna. „Czyżby coś się jej przytrafiło? — myślała. Ale oto zauważyła ją, biegnącą. Przywitały się jak zwykle bardzo serdecznie. Irena lubiła swoją szefową i wiedziała, że

jej sympatia nie pozostaje bez wzajemności.

—

Spóźniłam się o cały kwadrans. Najmocniej przepraszam! —
usprawiedliwiała się zadyszana Majka.

—

Zupełnie zapomniałam o tych nieszczęsnych kluczach w komisariacie.

— Czy koniecznie musisz zostawiać klucze w milicji?

— zapyłała Irena.

— Niestety, moje dziecko, takie są przepisy. Nie wolno nam zapominać, że w naszym sklepie jest sporo kosztownych rzeczy. Czy wiesz, co by się stało, gdyby klucze od sklepu trafiły w niepowołane ręce?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — odparła z rozbijającą szczerością dziewczyna.

— To źle! — skarciła ją Majka.

— Od której godziny sklep powinien być czynny? — nagle powiedział ktoś za plecami Majki.

Obie kobiety odwróciły się szybko i ujrzały dwóch młodych mężczyzn. Byli ubrani w standardowe „jodelki” — bardzo modne, z konieczności, w tym czasie. Bardziej rzucał się w oczy smagły brunet: nosił

ciemne okulary w grubej, rogowej oprawie.

—

O jedenastej! Bo co? — opryskliwie odpowiedziała Majka.

— Nic... Zdaje się tylko, że jedenasta już dawno minęła — ironicznie zauważył brunet.

— Wiem o tym... Czego właściwie panowie sobie życzą?

— Proszę otworzyć sklep, nie możemy przecież rozmawiać na ulicy —
powiedział ten w okularach.

— Nie otworzę sklepu, póki nie będę wiedziała, kim panowie jesteście i co was sprowadza! —
zdecydowanie odparła Majka.

— Dość tych ceregieli. Otworzy pani sklep albo natychmiast wezwiemy milicję! — podniesionym głosem powiedział ten drugi.

Majka drgnęła. Nagle przypomniała sobie niepokojące szczegóły rozmowy podsłuchanej niedawno w kawiarni. Teraz już bez wahania przystąpiła do otwarcia sklepu.

—

Inspektor Kotecki! Jesteśmy z Głównego Inspektoratu Ochrony Skarbowej — przedstawił się brunet, kiedy wszyscy razem weszli do sklepu.

— Oto moja legitymacja służbowa — dodał po chwili.

Majka rzuciła okiem na okazany dokument. Poczowała się trochę nieswojo.

Próbowała za wszelką cenę złagodzić nieprzyjemne wrażenie, jakie swoim poprzednim zachowaniem mogła wyrzucić na inspektorach.

Kotecki nie zwracał żadnej uwagi na to, co mówiła. Zajął się lustracją sklepu.

Później wyjął z teczki jakieś dokumenty.

— To protokoły kilku poprzednich remanentów, jakie były tu przeprowadzone — wyjaśnił.

W pewnym momencie spytał, czy przechowuje w sklepie jakiegokolwiek kosztowności, które nie zostały wykazane w ewidencji. Zastrzegł, aby nie próbowała niczego ukrywać, bowiem podczas kontroli i tak wszystko zostanie ujawnione.

Majka była coraz bardziej speszona. Oświadczyła, że poza jej własną biżuterią, którą przechowuje w kasie, wszystkie inne przedmioty są formalnie

zaprzychodowane. Kotecki zażądał przedstawienia na to dowodów.

Wyjaśniła, że część paragonów przechowuje w domu, a na pozostałe rzeczy nie ma niestety, pokrycia.

Kotecki jeszcze raz uprzedził, żeby mówiła całą prawdę. Jednocześnie pouczył ją o odpowiedzialności karnej, jaką będzie musiała ponieść w razie udowodnienia jej kłamstwa. Postawił sprawę w sposób lak jed-noznaczny i sugestywny, że Majka poczuła się zupełnie skołowana. Pogubiła się w odpowiedziach na liczne pytania, jakimi z dwóch stron zasypywali ją inspektorzy.

Wyszło teraz na jaw, że ma jeszcze w sklepie inną — poza jej własną —

bizuterię, która — jak wyjaśniła — „z różnych powodowanie figuruje w ewidencji”.

Uprzejmy dotąd Kotecki zmienił nagle swoje oblicze, ostrym tonem zakomunikował, że w tej sytuacji zmuszony jest przerwać swe urzędowe czynności na miejscu i poprosić obie panie do centrali, żeby tam pewne kwestie ostatecznie wyjaśnić.

Majka zdobyła się na krok nierozważny: wyraziła gotowość udzielenia gratyfikacji" za zatuszowanie całej sprawy...

Kotocki wybuchnął gniewem, nawymyślał jej od złodziei i łapowników.

—
Takiego remanentu, jaki tutaj przeprowadzę, jeszcze pani nie przeżywała! — groził podnieconym głosem. —Zażądał oddania wszystkich kluczy i natychmiastowego udania się z nim do GIOS-u.

Majka, przerażona, posłusznie wykonała wszystkie polecenia.

Po przyjsciu do centrali na Krakowskim Przedmieściu Kotecki zaprowadził obie kobiety do poczekalni i kazał tutaj posiedzieć aż do jego powrotu.

Upłynęło piętnaście, może dwadzieścia minut. Do poczekalni weszło jeszcze parę osób. Przeleciał następny kwadrans... Kotecki się nie zjawiał.

Zniecierpliwione kobiety wychodziły co parę minut na korytarz, rozglądając się za kontrolerami. Wreszcie zdenerwowana Majka zdecydowała się wejść do pierwszego z brzegu pokoju. Zapytała, jak długo ma jeszcze czekać. Urzędnik zagadnął o nazwisko i numer sprawy. Dłu-go musiała mu tłumaczyć, jakie okoliczności poprzedziły jej wizytę w tym budynku. W miarę opowiadania rosło zdumienie urzędnika. Powiedział, że nie zna inspektora o nazwisku Kotecki, ale na wszelki wypadek sprawdzi.

Wrócił po upływie kilku minut w towarzystwie innego pracownika GIOS-u. Z

wyrazu ich twarzy Majka wywnioskowała, że stała się rzecz nie do naprawienia. Polecono jej biec do sklepu i czekać tam do czasu przybycia milicji. Zwrócono też uwagę, aby nie dotykała klamki, bo mogą być na niej odciski palców. Majka nie miała już żadnych wątpliwości, że stała się ofiarą zręcznych aferzystów.

Rzut okiem na wystawę rozwiązał resztę ukrytych złudzeń: biżuteria zniknęła!!!

Nie mogąc doczekać się milicji, pobiegła do telefonu. Kiedy wróciła, zastała już przed sklepem ekipę śledczą. Tymczasem na trotuarze gromadzili się przechodnie. Słysząc było uwagi i komentarze. Niski plutonowy nie potrafił

jakoś uporać się z gapiami.

—
Gdzie jest kierownik sklepu?! — zawołał podniesionym głosem Zaremba.

— Jestem tutaj! — odpowiedziała Majka, usiłując wydostać się z tłumu.

— Ma pani klucze od sklepu? Pytanie wskazywało, że funkcjonariusze milicji nie byli jeszcze dokładnie zorientowani w sytuacji. Majka w kilku słowach opowiedziała, co zaszło. Zaremba

obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. W duchu przyznała mu rację. Nie wykazała przecież elementarnej ostrożności. Ugięła się pod naciskiem przebiegłych oszustów.

Postąpiła naiwnie i bezsensownie, narażając przedsiębiorstwo na ogromne straty.

Niski plutonowy majstrował coś przy drzwiach wejściowych.

— Sami nie damy rady, obywatelu kapitanie — rzekł w końcu zniechęcony, zwracając się do Zaremby.

— Wezwijcie ślusarza! — rozkazał kapitan.

Zaremba poprosił Majkę do samochodu. Musiała odpowiedzieć na wiele pytań. Później Wezwał Irenę.

Dość długo, nie wracała.

Wreszcie przyszedł ślusarz. Szybko uporał się z zamkami. Zaremba polecił

Majce i Irenie stanąć pośrodku sklepu i niczego nie dotykać. Średniego wzrostu blondyn, którego tytułowano porucznikiem, zdjął

plaszcz, przystępując do fotografowania wnętrza sklepu i poszukiwania odcisków palców. Majka i Irena wskazywały przedmioty, na których mógł je znaleźć. Irena z ogromnym zainteresowaniem przyglądała się czynności blondyna. Pierwszy raz w życiu miała okazję coś takiego widzieć.

Później odbyła się wizja lokalna. Blondyn i plutonowy wystąpili w roli ..inspektorów GIOS-u".

Wszystkie te zabiegi pochłonęły mnóstwo czasu. Zapadał już zmierzch, kiedy Zaremba oświadczył, że oględziny sklepu zostały zakończone. Padający od rana z przerwami deszcz znowu zaczął się nasilać. Strugi wody zalewały kratę i szyby, jak by chciały zmyć ślady wydarzeń ponurego dnia.

Przesłuchanie w komendzie miejskiej MO przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych.

Majka i Irena od rana nie miały nic w ustach. Były głodne, wyczerpane, zrezygnowane. Oczekując w korytarzu na kolejne wezwanie rozważały poszczególne fakty.

Majka starała się przekonać samą siebie, że była z kapitanem szczerą. Nadal nie miała jednak pewności, że zdołała przełamać jego nieufność. Domyślała się, skąd ona wypływa. Kapitan chciał wiedzieć, dlaczego

„kontrolerzy" tak nagle przerwali swoje „urzędowe czynności", jakiego użyli w tym celu pretekstu.

Czy powinnam powiedzieć prawdę? — zadawała sobie pytanie.

Doszła do wniosku, że słusznie leż postąpiła przemilczając fakt istnienia nadwyżek w sklepie. Bardzo wątpiła, czy którykolwiek kierownik sklepu tej branży był tutaj całkiem w porządku. Przecież tak trudno ludziom odmówić, kiedy przychodzą i błagają, obiecując „procent", aby tylko szybko spieniężyć ich kosztowności.

A jakie byłyby skutki, gdyby powiedziała o tych machinacjach? Czy skończyłoby się tylko na utracie posady? Posada' też iesel ważna, niełatwo o dobrą

pracę, dla kobiet. Co by zyskała zatajając część prawdy?

Nic nie wiedzą i nic mi nie zrobią — pocieszała się bez przekonania. A biżuteria? No cóż, przepadła.

Stało się.

Innymi pytaniami zadawanymi przez kapitana, w rodzaju: „Czy dokładnie sprawdziła legitymację Koteckiego? Dlaczego oddała klucze od sklepu?

Dlaczego tak długo czekała w GIOS-ic" — nie przejmowała się zbytnio.

Majka spojrzała z ukosa na Irenę. Dziewczyna wyglądała żałośnie.

— O czym tak myślisz, Irenko? — zagadnęła ją serdecznie.

— Nie mam oczym myśleć? Głowa mi pęka od tych dzisiejszych wrażeń. Że leż ten Kotcecki...

Byłam święcie przekonana, że jest prawdziwy...

— Będziesz miała nauczkę na przyszłość! Ja też dzisiaj wiele się nauczyłam.

W tym samym czasie kapitan Zaremba uzgadniał ze swymi podwładnymi plan dalszego działania.

Był

przekonany, że Majka nic powiedziała wszystkiego. Podejrzewał, że miała poważne manko, o czym Krawczykówna mogła wcale nie wiedzieć, i aby je ukryć, weszła w porozumienie z oszustami. Oczywiście nie miał na to żadnych dowodów, ale właśnie dlatego zarządził poddanie Majki stałej obserwacji. Spodziewał się, że w ten sposób zdobędzie obciążające ją materiały.

Już najbliższe dni miały wykazać, jak bardzo się mylił

— zarówno w ocenie postępowania kierowniczkii sklepu, jak i charakteru dokonanego przestępstwa.

ŚWIADKOWIE WIDZIELI

Najbliższą niedzielę Zaremba spędził u przyjaciół w Podkowie Leśnej.

Nazajutrz przyszedł do komendy wcześniej niż zawsze.

Zaczął urzędowanie od przejrzenia biuletynu i meldunków. W nocnej kronice wydarzeń nie znalazł nic ciekawego: kilkanaście drobnych kradzieży, jedno włamanie, dwa oszustwa, parę pijackich awantur...

Odetchnął z ulgą. Podeszedł do okna i otworzył je na oścież. Po sobotniej konsultacji powietrze w pokoju jeszcze było przesycone dymem z papierosów. Ogarnął wzrokiem pusty o tej porze dnia dziedziniec komendy. Panująca wokoło cisza działała kojąco. Tylko tykanie zegara przypominało, że czas biegnie.

Pora zabrać się do roboty — pomyślał. Wyjął z żelaznej szafy akta dotyczące zabójstwa sierżanta Bednarza. Całości materiałów nie przeglądał, skupił

uwagę na najnowszych ustaleniach. Miał przed sobą protokół przesłuchania żołnierza WP, który krytycznej nocy pełnił wartę przed budynkiem Komendy Garnizonu przy ulicy Karowej.

... Nie wiem dokładnie, która magła być wtedy godzina — zeznał żołnierz —

nie jedenasta na pewno jeszcze nic minęła. Zauważyłem milicjanta rozmawiającego z jakimś cywilem. Stali nie opodal zaledwie kilka minut.

Później poszli Karową w kierunku ślimaka. Kiedy przechodzili obok mnie, usłyszałem słowa ich rozmowy. Cywil powiedział: „A więc jesteś milicjantem, kto by to pomyślał...” Na co milicjant odpowiedział: „Jak widzisz różnie w życiu bywa”.

Żołnierz nie potrafił podać dokładnego rysopisu obydwu mężczyzn.

Stwierdził jedynie, że cywil znacznie przewyższał wzrostem milicjanta. Był

ubrany w szarą jesionkę, na głowie miał chyba beret. Ponieważ wartownik nie rozpoznał Bednarza z okazanej mu fotografii, trzeba było sprawdzić, czy inni milicjanci —

oprócz Bednarza — mogli przebywać w tym czasie w tym miejscu. Ustalenia w jednostkach milicji wykluczały taką ewentualność. Równocześnie eksperyment śledczy wykazał, że żołnierz istotnie mógł słyszeć urywki tej nocnej rozmowy. Na tej podstawie dano wiarę świadkowi, przyjmując za udowodniony fakt, że tym milicjantem był Bednarz.

Znacznie cenniejsze dla śledztwa okazało się zeznanie Michała Kożucha —

owego pijaka z bramy. Zaremba, będąc z usposobienia człowiekiem dość powściągliwym w wyrażaniu pochwał, musiał tym razem przyznać, że ustalenie nazwiska osoby, która odkryła sierżanta leżącego w bramie, było niewątpliwie znacznym sukcesem jego podkomendnych. Zeznanie tego człowieka odsłoniło nie tylko nic znane okoliczności, ale również pozwoliło ujrzeć w innym świetle poprzednio stwierdzone fakty.

Oficer śledczy, sporządzający na gorąco notatki z przesłuchania Kożucha, starał się w miarę możliwości zachować słownictwo, jakiego używał ten autentyczny powiślak.

... Popiłem tego tego wieczora z kumplami — czytał Zaremba. —

Wszystkiemu winna chewra. Jak się zacznie, trudno skończyć, we pan, jak to jest? Wracalem do mojej starej. Mieszkam na Wiślanej, od samego urodzenia. Potwornie we łbie mi się kołowało... 1 jeszcze ta cholerna mgła.

Przyczepiła się do mnie stara śpiewka: „Gorzkie żale, w łeb cię zwalę, aż polecisz na Podwale”. Śpiewałem, śpiewałem, ai zmyliłem drogę. Licho we, dlaczego polazłem na Radną. Jak tu trafić do chałupy? Walaj, bracie, na skróty—pomyśla-

łem sobie...

Zaraz z brzegu zawadził nogą o wystającą rurę. Upadł jak długi i stłukł sobie kolano. Chwilę leżał, nie mając siły wstać. Później dźwignął się, oparł o szczątek ściany i zaczął rozcierać bolącą nogę. Nagle usłyszał kroki i rozmowę. Kuśtykając, podszedł cicho do otworu w murze. Zobaczył milicjanta idącego z

dziewczyną. Już chciał wezwać ich na pomoc, ale w porę się zreflektował —

pomyślał o nocy w „kiciu”, co mu się nie uśmiechało. Para rozmawiając ze sobą minęła Kozucha i zniknęła w ciemnościach. Zanim wygramolił się na ulicę, usłyszał tupot nóg. Przed oczami śmignęła mu ta dziewczyna. Za nią biegł wysoki mężczyzna. Uciekali w kierunku ulicy Furmańskiej. Niech cię trup popieści!!! — Zaremba znowu czytał

autentyczne wypowiedzi Kozucha. — Gdzie oni tak fugają? Może przed łapiduchem? Ale gdzie on jest, u diabła?!

Z pobliskiej bramy doszły go jęki. W bramie zapalił zapałkę. W jej migotliwym świetle zobaczył leżącego milicjanta. Zapalił drugą zapałkę.

Spostrzegł teraz kałużę krwi wokół głowy ofiary. Z wrażenia wypuścił z ust nie zapalonego papierosa. Początkowo rzucił się do ucieczki, Zaraz jednak zawrócił. Wbiegł na podwórze, omijając leżące w bramie ciało. Krzyczał

wniebogłosey: „Ratunku, zabili człowieka!!!” Kiedy zobaczył, że w mieszkaniach zaczął się ruch, pośpiesznie odszedł, zapominając o bólu w nodze.

Jaka szkoda — pomyślał kapitan — że błyskawiczny bieg wydarzeń i ciemności uniemożliwiły Kozuchowi dokładne przyjrzenie się zabójcom Bednarza!

Było już jednak wiadomo, że czynu tego dokonały dwie osoby, z których jedna była młodą kobietą. Kapitan wiedział również, że to nie Kozuch zwymiotował w bramie, lecz zapewne morderca sierżanta.

Okoliczność ta miała pewne znaczenie. Pozwoliła na wyciągnięcie wniosku, że prawdopodobnie zamachowiec nie był człowiekiem oswojonym z widokiem krwi, co w zasadzie wykluczało tezę, jakoby zabójstwa Bednarza dokonali członkowie podziemnej organizacji, Z reguły bowiem powierzano zadania tego typu osobom o wyjątkowej odporności psychicznej. Wprawdzie były wypadki, że w celu odcięcia drogi odwrotu młodym ludziom wstępującym do organizacji i żółtodziobom zlecano wykonywanie wyroków śmierci; ale czy tego rodzaju przypadek miał miejsce właśnie na ulicy Radnej?

Stanowczo za dużo mamy tu niewiadomych — pomyślał zatroskany Zaremba. — Skądinąd wiedział

jednak, że pozornie odległe skojarzenia okazywały się czasem bardzo pomocne w rozwiązywaniu trudnych zagadek detektywistycznych.

W przeglądanych materiałach zwróciło jego uwagę doniesienie ze źródeł poufnych. Informator meldował, że osobnik o przezwisku „Wiryna” zwierzył mu się po pijanemu ze swoich skrytych zamiarów. Opętała go myśl

„załatwienia” sierżanta Bednarza, ponieważ miał się on rzekomo przyczynić do aresztowania jego kochanki.

Zaremba podkreślił czerwonym ołówkiem zawarte w doniesieniu uwagi o rysopisie „Wiryny” i polecił

rozpracować podejrzanego.

Z kolei kapitan wziął na warsztat sprawę afery na Nowym Świecie. Tutaj śledztwo od początku kulało.

Trwająca od kilku dni obserwacja Majki nie przynosiła spodziewanych rezultatów. Wprawdzie w kręgu jej znajomych ujawniono kilku mężczyzn, którzy byli podobni do sprawców napadu na sklep, ale wszyscy mieli murowane alibi.

Nagle zabrzmiał aparat bez tarczy z numerami.

Kiedy sygnał pochodził z tego telefonu, Zaremba zawsze reagował

błyskawicznie. Wiedział, że w słuchawce może odezwać się głos jednego tylko człowieka: pułkownika Hipolita Molarczyka, szefa Oddziału Służby Śledczej Komendy Głównej MO. Zarembę pilnie wzywano na odprawę do centrali.

Oddział służby śledczej mieścił się na trzecim piętrze budynku przy ulicy Karowej 16. Przystępując próg tego gmachu wszyscy funkcjonariusze milicji, niezależnie od stopnia służbowego i zajmowanego stanowiska, mieli obowiązek okazywania legitymacji, która była skrupulatnie sprawdzana.

NOWE RABUNKI

Sekretarka pułkownika Molarczyka skierowała kapitana wprost do sali konferencyjnej. Zaremba zastał

tam wszystkich naczelników wydziałów służby śledczej z całego kraju. Nikt nie wiedział, w jakim celu zwołana została ta narada, co znacznie ożywiło nastroje (zwykle wcześniej informowano o tego rodzaju spotkaniach, a więc musiały być ważne powody, skoro teraz odstąpiono od leż zasady). Z tym większym zaciekawieniem oczekiwano nadejścia szefa. Pułkownik wszedł do sali punktualnie o ósmej w towarzystwie swych zastępców. Od razu przystąpił do rzeczy.

— Wezwałem was tak nagle — powiedział — ponieważ zaszły niecodzienne wydarzenia. W ostatnich dniach zanotowaliśmy całą serię zuchwałych napadów na sklepy jubilerskie, podczas których zrabowano kosztowności oszacowane na kilka milionów złotych. Napady miały miejsce w Warszawie, Katowicach, Krakowie i Wrocławiu. Tylko w Warszawie — mówił dalej pułkownik — bandyci posłużyli się podstępem, udając inspektorów GIOS-u.

W innych miastach terroryzowali personel sklepów bronią palną. W czasie ostatniego napadu, we Wrocławiu, po raz pierwszy zrobili z niej użytek.

Ranili kierownika sklepu, który stawiał im czynny opór. Znalezioną łuskę poddano badaniom porównawczym, które wykazały, że została ona wystrzelona z pistoletu zrabowanego przed kilkoma dniami sierżantowi Bednarzowi.

A zatem zabójstwo Bednarza i napady na sklepy pozostają ze sobą w związku przyczynowym...

Zarembę uderzyło, że szef nic nie powiedział o osobach poszukiwanych przestępców. Ograniczył się do banalnych raczej uwag i spostrzeżeń w rodzaju: „Bandyci są wyjątkowo niebezpieczni i przebiegli... wyka-zują znaczną ruchliwość i przezorność... mają świetne rozeznanie.” Kapitan wyciągnął stąd wniosek, że dane o sprawcach, jakimi szef rozporządzał, są na razie dość skromne. Wcale go to nie pocieszyło, mimo że subiektywnie rzecz biorąc miał powody, aby poczuć się usatysfakcjonowanym: zaraz po napadzie na Nowym Świecie musiał wysłuchać przycinków pułkownika. Szef postawił mu wtedy zarzut, że „tak mało wie o ludziach, którzy w biały dzień, w sercu stolicy, ograbili doszczętnie jeden z większych sklepów jubilerskich”.

W dalszym ciągu narady pułkownik omówił sposoby i kierunki rozpracowania bandy.

— Aparat centralny zajmie się — wskazywał szef — trzema grupami zagadnień: portretem przestępców, usprawnieniem koordynacji pracy jednostek terenowych oraz szybką ich obsługą w takim zakresie, jak informacja kartoteczna, daktyloskopijna i różnego rodzaju ekspertyzy.

Aby ułatwić zadanie Januszowi Górcie, znanemu plastykowi, zawsze bardzo chętnie nam pomagającemu, należy skierować do jego dyspozycji wszystkie osoby, które widziały bandytów.

Wyjątkowa operatywność, cechująca członków tej grupy, stwarza potrzebę powołania specjalnego zespołu oficerów, którzy by nieustannie, w skali ogólnokrajowej, śledzili bieg wypadków, synchronizowali przedsięwzięcia poszczególnych służb i jednostek, opracowywali bieżące dyrektywy oraz czuwali nad ich realizacją.

Przewidując możliwość podjęcia próby wywiezienia z kraju zrabowanej biżuterii, zobowiązują kierownika zespołu do niezwłocznego zaalarmowania WOP-u i służby celnej.

Terenowe ogniwa służby śledczej zabezpieczą właściwie sklepy jubilerskie, zaktywizują rozpracowanie handlarzy obcą walutą i paserów zajmujących się skupywaniem biżuterii.

Całej operacji nadają kryptonim „Jubiler”. Odtąd wszystkie informacje dotyczące poszukiwanych bandytów będą oznaczane tym hasłem!

Na krótko przed końcem narady Zaremba podszedł do szefa zawiadamiając go o nowych ustaleniach w sprawie Bednarza. Szef uznał za wskazane, aby poinformować o tym zebranych, co Zaremba uczynił. Odpowiedział również na liczne pytania, jakie padły z sali.

KOLEJNY NAPAD

Zaremba wracał do siebie pieszo. Po drodze zauważył dwa szybko mknące samochody służby bezpieczeństwa. Zaintrygowało go to. W komendzie dowiedział się, że dokonano właśnie nowego aktu dywersji.

Tym razem dość poważnego.

W ostatnich czasach nasiliła się działalność podziemia. Wysadzono rurociąg w zakładach wojskowych, uszkodzono linię kolejową, coraz więcej krążyło nielegalnych druków.

Wydarzenia te nie przeszły bez echa. Szeptane po kawiarniach pogłoski*!

plotki, puszczane w obieg przez osoby łaknące taniej sensacji, bulwersowały opinię publiczną.

Rozmyślenia nad tymi sprawami przerwało Zarembie wejście do pokoju porucznika Soweckiego — kierownika sekcji zabójstw i napadów. Sowecki trzymał w ręku kartkę. Okazało się, że był to pilny telefonogram z komisariatu MO na Ochocie o napadzie na mieszkanie niejakiej Zofii Kurek.

— Są jakieś bliższe dane w tej sprawie? — zapytał Zaremba przeczytawszy meldunek.

— Niestety, ekipa śledcza nie powróciła jeszcze z miejsca przestępstwa.

Zaremba spojrział na zegarek. Dochodziła dwunasta.

—

Jedziemy! — powiedział krótko. Kierownik komisariatu, uprzedzony o przyjeździe Zaremby i Soweckiego, oczekiwał ich w swoim sekretariacie.

Siedział tam również jakiś mężczyzna ubrany w skórzaną kurtkę. Był bardzo blady i zdradzał objawy silnego zdenerwowania.

Kierownik poprosił przybyłych do swego pokoju. Wyjaśnił, że mężczyzna ten jest siostrzeńcem poszkodowanej i nazywa się Pacek.

— Dajcie go tutaj! — polecił Zaremba.

Pacek ciągle jeszcze znajdował się pod wpływem przeżytego szoku. Trzeba było wykazać wiele cierpliwości i taktu, aby nawiązać z nim rozmowę. W

końcu opowiedział, że poprzedniego dnia przyjechał do Warszawy w sprawach służbowych. Korzystając z rzadkiej okazji, postanowił odwiedzić dawno nie widzianą ciotkę. Złożył jej wizytę dzisiaj rano, około godziny dziesiątej. Ponieważ nie reagowała na sygnał

dzwonka, odruchowo nacisnął kłamkę: drzwi do mieszkania były otwarte!

Wszedł do środka i zawołał parokrotnie „ciociu!” Nie odpowiedziała. Zajrzał

do kuchni, potem do jednego i drugiego pokoju, wreszcie — do łazienki.

Jakież było jego przerażenie, gdy ujrzał ciotkę leżącą pośrodku z podkurczonymi nogami! Ukłąkł na podłodze, wziął ją za rękę, nie wyczuł

tętna. Przyłożył ucho do piersi — serce biło. To go trochę uspokoiło. Unosząc jej głowę spostrzegł krew na posadzce. Równocześnie zauważył, że ciotka ma dość dużą ranę powyżej prawego ucha. Zaalarmował sąsiadów. Przy ich pomocy zaniósł ranną na łóżko, a sam pobiegł do telefonu, aby zawiadomić pogotowie ratunkowe. Lekarz przyjechał

dopiero po półgodzinie. Kurkowa cały czas była nieprzytomna i w takim stanie zabrano ją do szpitala. Później dowiedział się, że pogotowie dało znać do komisariatu. Niebawem przyszli trzej cywile, którzy przed-stawili się, że są oficerami śledczymi.

Tyle wiedział Pacek. Nie orientował się natomiast, gdzie i w jakim charakterze pracuje jego ciocia. Słyszał jedynie, że wujek ma prywatną taksówkę. Tę wiadomość potwierdziła ekipa śledcza, która wróciła z mieszkania Kurkowej. Innych szczegółów nie udało się ustalić.

Odnalezienie Kurka, wbrew przewidywaniom, nie zajęło dużo czasu. Z pomocą pośpieszyli jego koledzy. Zostało raz jeszcze dowiedzione, że kierowcy taksówek w wyjątkowych sytuacjach potrafią być bardzo solidarni.

Kurek, dowiedziawszy się o nieszczęściu, jakie spotkało jego żonę, dostał ataku hysterii. Lamentując bez przerwy powtarzał: „Jak Zosia umrze, to ja nie przeżyję”. Teraz i Pacek zaczął szlochać. Widok płaczących szczerze mężczyzn tak rozkleił Zarembę, że na chwilę wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, Kurek był już znacznie spokojniejszy. Ku zdziwieniu kapitana nawet się rozgadał. Próbował opowiedzieć całą historię swego życia:

— Pobraliśmy się z miłości... nigdy nie mieliśmy dzieci... oboje nie jesteśmy już młodzi... sami musimy dbać o siebie... składowy pieniądze na kupno domku pod Warszawą... chcemy na starość mieć własny kąt...

Gadanina taksówkarza stawała się nużąca. Zaremba udawał początkowo, że uważnie go słucha, ale później zaczął się niecierpliwie — parę razy znacząco spojrzął na zegarek. W końcu Kurek zreflektował się.

Poprosił o stawianie konkretnych pytań, na które chętnie odpowie.

Oficerowie dowiedzieli się więc, że

„żona jest domatorką... prowadzi spokojny tryb życia... nie ma żadnych wrogów... cały dzień spędza w sklepie”...

— W jakim sklepie? — podchwycił Zaremba.

— Ano, żona jest kierowniczką sklepu jubilerskiego.

Sklep jubilerski?! — w mózgu Zaremby odezwał się sygnał alarmowy.

Niezwłocznie przerwał przesłuchanie.

— Sowecki! — rozkazał — pojedziesz zaraz z panem Kurkiem do jego mieszkania. Ustalisz, czy napad na panią Kurkową był połączony z obrabowaniem jej mieszkania. Franek! — zwrócił się do kierownika komisariatu — zadzwoń natychmiast do centrali „Jubilera”. Niech powiedzą, kto, poza Kurkową, pracuje w tym sklepie.

Obuj oficerowie stuknęli obcasami. Sam Zaremba wraz z porucznikiem Krysińskim — kierownikiem sekcji dochodzeniowej komisariatu — popędził

autem do sklepu. Nie dlatego, by łudził się nadzieją, że zastanie tam jeszcze bandytów; od chwili napadu na Kurkową upłynęły przecież ze trzy godziny.

Chciał jedynie przekonać się, czy aby napad na nią nie miał na celu zawładnięcia kluczami od sklepu, dowiedział się bowiem, że poprzedniego wieczora Kurkowa, wbrew przepisom, nie odniosła tych kluczy do komisariatu.

Niestety, oficer dyżurny na to nie zareagował. Zapewne dlatego, że nie zdarzyło się to po raz pierwszy...

Na domiar złego zapomniał poinformować swego zmiennika — dowódcę plutonu patrolowego, który objął

służbę w zastępstwie etatowego dyżurnego. Ten z kolei nie wiedząc, że klucze powinny być przechowywane w komisariacie oraz że Kurkowa jest kierowniczką sklepu jubilerskiego, nie wyciągnął w porę odpowiednich wniosków. Tak oto nieprzestrzeżenie przepisów spowodowało fatalne skutki.

Widok zewnętrzny sklepu nie dawał powodu do obaw. Żaluzja w drzwiach była opuszczona, na wystawie leżało parę błyszczących drobiazgów. Ale już po chwili Zaremba stwierdził brak kłódki.

Trudno było liczyć na lekkomyślność bandytów: przecież podczas napadu na sklep Majki nie pozostawili żadnych odcisków palców; ale na wszelki wypadek Zaremba przy podnoszeniu kraty i

otwieraniu drzwi wolał posłużyć się chusteczką.

W sklepie panował na pozór idealny porządek. Nawet wprawne oko kapitana nic dostrzegło żadnych śladów obecności intruzów. Ze zdumieniem skonstatował, że kasa ogniotrwała jest zamknięta. Klucz, jak się niebawem okazało, leżał na stoliku przykryty skrawkiem papieru. Kasa była pusta.

Jedynie na górnej półce zauważyli jakąś kartkę. Zaremba delikatnie ją wyjął za pomocą pincety. Nagle roześmiał się głośno. Porucznik Krysiński, zajęty badaniem gablotek, odwrócił się zdziwiony.

— Ten Kotecki, jak widać, ma poczucie humoru — powiedział rozbawiony Zaremba. — Przesyła nam wszystkim pozdrowienia wraz z życzeniami owocnej pracy.

— A swego adresu przypadkiem nie podał? — podchwycił ton kapitana Krysiński.

— A co, chcielibyście z nim korespondować? Macie tu tę kartkę, poruczniku

— dodał już innym tonem.

— Pewnie się kiedyś przyda. Myślę, że złapiemy w końcu tego Koteckiego.

Ciekaw jestem, kto z nas

wtedy będzie się śmiał?

— Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Wpadnie prędzej, niż przypuszcza.

Więszym od niego cwaniakom powinęła się noga. Przypominacie sobie, kapitanie, Władka Bizona, tego, co obrabiał komisje?

— Naturalnie...

— To był dopiero spryciarz, prawda? I co, długo hulał? Zaledwie pół roku.

— Kotecki jest bardziej niebezpieczny, zabija ludzi.

— Czyżby Kurkowa już nie żyła?

— Nie chodzi tu o nią. Kotecki zamordował naszego kolegę, sierżanta Bednarza.

— O tym nie wiedziałem!

— A jednak to prawda.

— Kotecki, Kotecki... Co wiemy o jego bandzie? — spytał szczerze zainteresowany Krysiński. — Po przeczytaniu waszych biuletynów człowiek nie staje się mądrzejszy.

— Dziękuję za szczerść. Powiem, komu trzeba, co teren o nich sądzi. A co do Koteckiego... Dotychczas mieliśmy przyjemność poznać dwóch panów z tego towarzystwa. To raz. — Zaremba zaczął wyliczać na palcach. — Mój wścibski nos mówi mi jednak, że jest ich więcej. To dwa.

Czy Kotecki gra tutaj pierwsze skrzypce??? Nie wiemy. To trzy. I jeszcze tajemnicza dziewczyna. To cztery.

— Jednym słowem prawie same znaki zapytania — zauważył porucznik.

— Taką już mamy profesję — zamknął ten dialog Zaremba. — Pamiętajcie, poruczniku — powiedział

na pożegnanie — żebyście niczego nie zaniedbali w czasie oględzin tego sklepu. I tak już dobrego piwa na-warzyliście w waszym komisariacie.

Wyszliśmy na remis, jeden do jednego — pomyślał Krysiński — stary tym piwem odkuł się za biuletyn.

Zaraz po przyjeździe do komendy Zaremba zatelefonował do szpitala, w którym przebywała Kurkowa.

Powiedziano mu, że odzyskała już przytomność, ale na razie nie ma mowy, żeby z nią rozmawiać. Nalega

nia kapitana nie odniosły skutku.

Z drugiego aparatu zadzwonił do kierownika komisariatu na Ochocie.

Dowiedział się, że w sklepie Kurkowej jest wprawdzie jeszcze jeden pracownik, ale od kilku dni pozostaje „na chorobie”.

Spryciarz z tego Koteckiego, potrafi wyprowadzić w pole — pomyślał Zaremba.

— Raz udaje inspektora GIOS-u, teraz znowu chytrze wykorzystuje chorobę pracownika. Musi mieć dobry wywiad.

Przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze obiadu. W kasynie o tej porze nie było już żadnego wyboru. Musiał się ukontentować tradycyjnym daniem z dorsza.

Jego zapach przyprawił go o mdłości. Podłubał widel-cem i odsunął talerz.

Poprosił kelnerkę
o herbatę z cytryną.

—
Cytryny nie ma, a woda jeszcze się nie zagotowała — odpowiedziała obrażonym tonem. Machnął ręką i wyszedł wściekły.

Kiedy wrócił do swego pokoju i usiadł w fotelu, poczuł się nagle piekielnic zmęczony. Ostatnio coraz częściej zadawał sobie pytanie, jak długo jeszcze jego organizm będzie w stanie znosić ten szaleńczy rytm pracy, przekraczający wszelkie dopuszczalne normy. Już od kilku miesięcy nie stosował żadnej higieny psychicznej. Nie czytał książek i czasopism, zapomniał, jak wygląda teatr, a nawet kino. Gorzej — stracił

kontakt z uczelnią. Od początku letniego semestru ani razu nie był na seminariach. Wiedział, do czego to prowadzi: prędzej czy później zostanie skreślony z listy studentów. A tak się cieszył, gdy przed dwoma laty —

'po zdaniu matury i przebrnięciu przez wstępne egzaminy — otrzymał indeks słuchacza wydziału prawa .

Do pokoju wszedł Sowecki. Wiedział już o obrabowaniu sklepu na Ochocie.

— I co dalej, kapitanie? — zapytał z kwaśną miną.

— Nic, jutro pomyślimy. Teraz lepiej idź do domu pomieszkać trochę. Ja tu jeszcze posiedzę, ale też niedługo. Chcę wpaść później do Majki.

— Ona nie ma nic wspólnego z tym napadem! —
powiedział zdecydowanie Sowecki.

— Wiem! Aha! Jak spotkasz Łuczaka, powiedz mu, żeby jego chłopcy przestali już łązić za Majką.

Majka przywitała kapitana przyjaznymi uśmiechem. Miała ładno mieszkanie, gustownie urządzone. Było sporo wartościowych antyków.

Uwagę Zaremby zwróciła oszklona serwantka, zawierająca szkatułkę z koralu i kolekcję posążków indyjskich. Nad rozłożystą kanapą simlerowską wisiał

duży obraz dobrego pędzla, przedstawiający Bachusa w otoczeniu rozbawionych nimf.

Skąd u niej te zabytkowe rzeczy? — pomyślał kapitan rozglądając się ciekawie wokoło.

Majka, jakby odgadując jego myśli, wyjaśniła, że są to resztki bogatego zbioru jej ojca, znanego niegdyś kolekcjonera.

Odwiedzinami Zaremby nie była wcale zaskoczona. A może tylko zręcznie ukrywała swe uczucia? Ble-fują powiedział, że jest już na tropie Koteckiego i lada dzień będzie go miał w swoich rękach. Chciał w ten sposób nakłonić ją do zwierzeń, gdyż cały czas czuł,

że w komendzie nie powiedziała wszystkiego.

Rybka połknęła haczyk. Majka opowiedziała szczerze o nieformalnościach w sklepie. Co

ważniejsze —

Zaremba dowiedział się dopiero teraz o ważnym, jak się okazuje, epizodzie w „Kopciuszk”. Momentalnie uchwycił istotę rzeczy. Był już teraz pewien, że pomiędzy Koteckim a tymi dwiema osobami przy kawiarnianym stoliku istnieje ścisła zależność. Więcej — doszedł do wniosku, że być może para z kawiarni zamordowała Bednarza.

— Czy może pani podać ich dokładniejszy rysopis?

— zapytał.

— Bardziej utrwaliła mi się w pamięci sylwetka dziewczyny: blondynka o błękitnych oczach, wybitnie urodziwa, elegancka w ubiorze i zachowaniu.

— Niewiele mi to mówi. A jej towarzysz?

—

Był młody, bardzo męski, wysoki i równie starannie ubrany. Co jeszcze... Ach tak, miał na lewym policzku bliznę, nie od razu rzucającą się w oczy. Mówił niezbyt głośno, ale jakoś tak energicznie, zdecydowanie.

— Prawdopodobność pani, choć nieco spóźniona, bardzo nam pomogła.

Serdecznie pani dziękuję. Odnoszę wrażenie, że sąsiedztwo waszych stolików w „Kopciuszk” i treść niechcący podsłuchanej rozmowy stanowiły część perfidnego planu. Jego ukoronowaniem był rabunek w pani sklepie.

Majka pokwitowała słowa Zaremba skinieniem głowy.

— Widzi pan — powiedziała z lekką melancholią — niezbyt czyste sumienie osłabia odporność człowieka wobec ludzi złych i zdecydowanych na wszystko.

Kapitan zabawił u Majki jeszcze około godziny. Zjawiła się czarna kawa.

Oboje interesowali się sztuką, znaleźli więc wdzięczny temat do rozmowy.

Zaremba miał teraz okazję poznać drugą niejako stronę osobo-wości kierowniczkę sklepu. Była kobietą wykształconą i miłą. Majka koniecznie chciała wiedzieć, jaka grozi jej kara za popełnione nadużycia. Żeby jej nie martwić, Zaremba świadomie pomniejszył ich znaczenie.

Poprosił uroczą gospodynię, aby nazajutrz przybyła do komendy w celu zaprotokołowania treści dzisiejszej rozmowy. Kapitan opuszczał mieszkanie Majki w przekonaniu, że znalazł w jej osobie sojusznika, na którym będzie mógł polegać.

Z pobliskiej knajpy zadzwonił do komendy.

— Co słyhać, jest coś nowego? — zapytał. Oficer dyżurny zameldował, że nic szczególnego nie za-szło. Zaremba poprosił o przysłanie samochodu.

Pragnął jeszcze złożyć wizytę Kozuchowi.

Pan Michał obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale nie zapytał, czemu zawdzięcza wizytę o tak późnej porze, choć pytanie to malowało się na jego twarzy. W izbie była rodzina Kozuchu. Małżonka — chuda, wymizerowana kobiecina — kończyła właśnie pranie. Dwie umorusane dziewczynki w wieku przedszkolnym z zaciekawieniem obserwowały gościa. W mieszkaniu było niezbyt czysto, chłodno, nieprzytulnie.

Jakiż kontrast z mieszkaniem Majki... Ciężko się żyje tym ludziom —

pomyślał ze współczuciem Zaremba.

Przygaszony nieco otaczającą go atmosferą

powiedział kilka zdawkowych słów. Kozuch zamruczał coś w tym samym tonie. Rozmowa się jakoś nic kleiła. Kapitan przeszedł więc do rzeczy.

Oczekiwał odpowiedzi na jedno tylko pytanie: jaki kolor włosów miała dziewczyna, którą Kozuch widział pamiętnej nocy na ulicy Radnej?

Upowiedział, aby dobrze się zastanowił, zanim cokolwiek powie, gdyż okoliczność ta ma istotne znaczenie.

Pan Michał, od którego i teraz zalaływało mocno bimbrem, spojrział najpierw na sufit, później obejrzał

ściany, jak gdyby po raz pierwszy w życiu znalazł się w tym pomieszczeniu.

— Dziewczyna jak dziewczyna — wykrztusił wreszcie

— abo to mało takich tu się kręci... Rosła, zgrabna...

— No, a co z tymi włosami? — niecierpliwiał się kapitan.

— Ano nic, ciemno było, choć oko wykol. A mnie się we łbie kręciło.

Kozuch mówił chyba prawdę. Zaremba zrozumiał, że nic więcej od niego nic wydebi. Zakończył rozmowę apelem — zwykłym w tego rodzaju sytuacjach —

aby

zatelefonował, jeżeli cokolwiek sobie przypomni.

Rozmowa z Kozuchem nie była ostatnią czynnością Zaremba w tym pracowitym "dniu, pełnym emocji i wrażeń. Kapitan postanowił poddać próbie weryfikacji swą nową hipotezę. W sobie tylko wiadomy sposób nakłonił telefonistkę, kończącą nocny dyżur w centrali komendy, aby pojechała z nim na ulicę Radną. Ela, podobnie jak dziewczyna z

„Kopciuszka”, była dorodną blondynką i świetnie nadawała się do roli, jaką jej przeznaczał. Telefonistka przechadzała się wzdłuż krótkiej uliczki, a on z kierowcą obserwowali ją z ukrycia. Zaremba przyjął poprawkę, wynikającą z różnicy warunków atmosferycznych. O ile pamiętał, w nocy z drugiego na trzeciego kwietnia, kiedy zamordowany został sierżant Bednarz, było mgliście. Teraz niebo po-krywały jedynie gęste chmury, a więc widoczność była znacznie lepsza. Pomimo to nie potrafił nawet w przybliżeniu określić barwy włosów panny Eli. Grzecznie podziękował dziewczynie za okazaną przysługę i polecił kierowcy odwieźć ją do domu, sam zaś zamyślony poszedł

pieszo w górę, w kierunku ulicy Karowej.

W gabinecie pułkownika Molarczyka paliło się

jeszcze światło — znak, że szef trwa na posterunku.

— Wpadłem do was na chwilę — wyjaśnił.

Do rana łamali sobie głowę, jak rozwikłać tę cholerną zagadkę.

STRZAŁY NA MARSZAŁKOWSKIEJ

Upłynął kwiecień, minęła pierwsza dekada maja. Rozpracowanie oznaczone kryptonimem „Jubiler”

utknęło w martwym punkcie. Tymczasem banda Koteckiego nie dawała znać o sobie. Nowe wydarzenia i sprawy stopniowo zacierały w pamięci obraz tamtych dni. Nic wiadomo skąd i dlaczego zaczął się szerzyć pogląd, że bandyci są już dawno za granicą. Jedynie Zaremba nie dawał się złapać na te plotki. Lepiej od innych rozumiał, co oznacza ta cisza. Obecną sytuację ocenił jako „jednostronne zawieszenie broni”. Już najbliższe dni miały wykazać, że miał rację.

We wtorek, dwudziestego czwartego maja około południa, nadeszła z Komendy Głównej MO alarmująca wiadomość, że Kotecki obrabował dwa następne sklepy. Jeden w Radomiu, a drugi w Poznaniu.

Pułkownik Molarczyk wprowadził stan wzmożonej czujności dla służby śledczej w większych miastach. Zaremba przekazał te dyspozycje komisariatom. Dotarły one do nich dopiero po szesnastej, a więc kiedy patrole drugiej zmiany zostały już wysłane w teren.

Punktualnie o godzinie osiemnastej Zaremba odebrał anonimowy telefon z miasta. Rozmówca

zmienio-nym, nienaturalnym głosem — nie wiadomo, męskim czy kobiecym — poinformował, że właśnie w tej chwili odbywa się napad na sklep jubilerski przy rogu Hożej i Marszałkowskiej. I zaraz odłożył

słuchawkę.

Zaremba zerwał się gwałtownie od biurka. Wpadł do sekcji napadów.

— Biegnijcie za mną! — zawołał do Soweckiego i jego ludzi. Zaalarmował po drodze dyżurnego, aby wysłał posiłki. Wskoczył z chłopcami do samochodu.

— Pełny gaz w kierunku Marszałkowskiej!!! — wrzasnął do kierowcy.

W parę minut byli już na miejscu. Teraz wszystko zaczęło się dziać jak w filmie.

Bandyci wychodzą właśnie ze sklepu. Jest ich tym razem trzech. Pierwsi zaczynają strzelać. Milicjanci odpowiadają ogniem. Wystraszeni przechodnie kryją się po bramach. Jakiś chłopiec krzyczy, trzyma się za brzuch, osuwa na ziemię, krwawi...

— Trafili mnie! — woła Zaremba chwytając się za prawe ramię.

Bandyci ostrzeliwiają się i wycofują Hożą w kierunku Kruczej. Ale i od tamtej strony widać już biegnących ludzi w mundurach.

Jeden z bandytów chwieje się, pada na trotuar. Dwaj pozostali ratują się nadal ucieczką. Skręcają w Sadową, wbiegają do bramy spalonego domu.

Zaremba, mimo dotkliwego bólu i dość silnego krwawienia, wydaje rozkazy przybywającym teraz ze wszystkich stron posiłkom.

— Sowecki, otocz ich od Hożej! Dubiel, odetnij im odwrót do Kruczej! Ja znajdę ich od frontu!

Zaremba zorientował się od razu, że kamienica, w której schronili się bandyci, jest całkowicie wypalona i nie będą mogli uciec przez górne piętra. Stamtąd nie ma już odwrotu.

Tymczasem z obu stron padają nadal gęste strzały.

— Poddajcie się! — krzyczy rozgorączkowany walką Zaremba.

W odpowiedzi — nowa seria z broni maszynowej. Milicjanci prażą z automatów. Obsypują się resztki tynku. Gdzieś w pobliżu dzwonią szyby...

Nagle bandyci przestają strzelać. — Przerwać ogień!

— rozkazuje Zaremba.

Zalega cisza.

— Nie mają już amunicji? — pyta gorączkując się Sowecki.

— Może... — odpowiada Zaremba.

Po paru minutach, które Zarembie wydają się wiekiem, z ruin wylania się sylwetka młodego mężczyzny. Idzie z podniesionymi rękami.

— A gdzie twój kumpel? — rzuca ostro Sowecki, kiedy bandyta podchodzi bliżej.

— Nie żyje...

— Gdzie masz broń? — Tamten wskazuje głową spalony dom. Sowecki rewiduje go i zakłada mu kajdanki.

W tym momencie nadjeżdża karetka pogotowia. Zabiera, mimo jego sprzeciwu. Zarembę. Wewnątrz leży już ciężko ranny na samym początku strzelaniny chłopiec.

Bandycie postrzelonemu na ulicy Hożej pomoc lekarska nie jest już potrzebna. Leży martwy.

Wokoło gęstnieje tłum gapiów. Dalszym przebiegiem akcji kieruje Sowecki.

Milicjanci przeczesują teraz ruiny domu, znajdują w nich trupa drugiego bandyty. Obok leżą dwie teczki wypchane biżuterią, nie opodal — gorący jeszcze automat i pistolet.

Zwłoki uczestników napadu zostają umieszczone w ciężarówce, która zaraz odjeżdża. Ich trzeciego

wspólnika samochód osobowy zabiera, pod silną eskortą, do komendy. Zachowuje się całkiem spokojnie.

Dozorcy przystępują do zmywania śladów krwi na płytach chodników.

RYSZARD DANIEL

Zastrzeleni bandyci nie mieli przy sobie żadnych dokumentów. W

kieszeniach ubrań znaleziono jedynie chusteczki do nosa, wieczne pióra, trochę bilonu. Z ustaleniem, który z nich jest Kotecki, nie było jednak najmniejszego kłopotu. Sowecki rozpoznał go z łatwością po wzroście i charakterystycznej czuprynie.

Kierownik sekcji polecił odstawić zwłoki do prosektorium i doprowadzić zatrzymanego.

Staął przed nim młody, przystojny mężczyzna o sympatycznym wyrazie twarzy. Nie zdradzał objawów zdenerwowania. Zachowywał się z godnością.

—
Nazwisko! — krzyknął Sowecki. Podejrzany spojrzał z ironią. Uniósł wyzywająco głowę. Milczał.

— Nazwisko! — powtórzył ostro oficer.

—
Jeżeli tym tonem chce pan prowadzić przesłuchanie, to niczego pan się nie dowie — odparł zatrzymany.

Bezczelny typ! Już ja ciebie nauczę moresu, wyśpiewasz wszystko jak na spowiedzi — pomyślał Sowecki. A na głos powiedział:

— Czego właściwie oczekuje pan od nas: miłych słówek, uprzejmości, a może zaproszenia do „Bristolu” na kolację?

— Niech pan przestanie...

— A więc do rzeczy: nazwisko, adres, miejsce pracy?

—
Ryszard Daniel, syn Zenona i Marianny, lat dwadzieścia dwa, kawaler, nie karany sądownie, dotąd nie chorował, urodzony we wsi Labendy w powiecie pruszkowskim... Co pan chce jeszcze wiedzieć? —

ironizował zatrzymany.

— Żarty zostawić dla siebie! — zdenerwował się Sowecki.

W tym momencie wszedł do pokoju Zaremba z ręką na temblaku. Dał znak, żeby nie przerywać rozpy-tania. Usiadł z boku biurka. Zamienił po cichu kilka słów z Soweckim.

Zaremba polecił rozkuć schwytanego. Zdrową ręką podsunął krzesło, zapraszając, by usiadł. Przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie.

— Gdzie pan pracuje? — kontynuował Sowecki.

— Jestem studentem.

— Studentem? — wtrącił się Zaremba.

—
Czy jest w tym coś aż tak dziwnego?

— Tak sądzę.... Co i gdzie pan studiuje, jeżeli można wiedzieć? — zapytał kapitan.

— Biologię, na uniwerku warszawskim.

— Od dawna?

— Byłem na drugim roku.

—
Byłem?

— Tak, przerwałem studia pół roku temu.

—
Ja też — wymknęło się Zarembie.

— Nie rozumiem? — zdziwił się Daniel.

— Ja też przerwałem studia... A wie pan dlaczego?

Skądże mam wiedzieć?

— Pan się do tego przyczynił. Tak, tak! Proszę nie mieć takiej zdziwionej miny... A to — i kapitan wskazał postrzeloną rękę — też może pańska robota?

— Pan pierwszy wysiadł z samochodu — tam przed sklepem? — zapytał Daniel.

—
Tak, ja wysiadłem pierwszy. Ale dlaczego pan o to pyta?

— Ja tylko tak sobie...

— Proszę jednak powiedzieć!

— To ja właśnie do pana strzelałem.

— Pan mnie zaskakuje szczerością.

— Że chcę mówić prawdę?... Dajmy temu spokój... Proszę mi zadawać konkretne pytania. Z góry zastrzegam, że nie na wszystkie panu zechcę odpowiedzieć.

— A gdzież ta prawdomówność? — zapytał z ironią Zaremba.

— Proszę nie łapać mnie za słówka! — obruszył się Daniel. — Są sprawy ważniejsze od prawdomówności. Nie ugnę się przed żadnym naciskiem.

— Co pan ma na myśli? — nic wytrzymał Sowecki.

—
Niech pan nie udaje naiwniaka! Słyszałem o waszych sztuczках: karcer, stanie godzinami w miejscu i temu podobne.

— Kto panu naopowiadał tych bzdur? — zareagował Zaremba.

— Mniejsza o to. Każdy wie swoje. Kończmy szybko tę zabawę!

— Co pan nazywa zabawą? — spytał spokojnie kapitan.

—
No. to całe wasze niby Śledztwo, rozprawę sądową i tak dalej.

Skąd tyle nienawiści u człowieka wchodzącego dopiero w życie — pomyślał Zaremba.

— Co chcecie wiedzieć? — powtórzył Daniel.

—
Wszystko. Kto? Kiedy? Jak? Dlaczego? Co zrobiliście z biżuterią? — rzucał pytania Zaremba.

— Wszystkiego nie dowiecie się nigdy, chyba że...

—
Że co?"

—
Zacznę od swojej historii. Jest krótka i nieskomplikowana. Od dwunastego roku życia mieszkam w Warszawie. Tutaj chodziłem do szkoły, później były komplety. Rodzice zginęli w powstaniu. Zostałem sam.

Miałem w życiu tylko dwóch prawdziwych przyjaciół. Ich trupy widziałem przed chwilą tam — w korytarzu. Jeden nazywał się Jerzy Lutyński, a drugi

— Andrzej Wójcik. Lutyńskiego poznałem podczas studiów, razem mieszkaliśmy w akademiku. Pochodził z Warszawy. Jego matka mieszka tu nadal. Dam wam jej adres, ale pod jednym warunkiem: miejcie względy dla kobiety ciężko chorej na serce. O działalności Jurka z pewnością nic nie wiedziała. Zaręczam słowem honoru, że w jej mieszkaniu nic nie znajdziecie.

— Który z nich występował jako Kotecki? — przerwał Zaremba, przejmując od Soweckiego dalsze badanie.

— Sami dobrze wiecie, i to nie od dzisiaj...

— Wójcik, Kotecki... Jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?

— Autentycznego nazwiska Andrzeja nie mogę wam ujawnić — jestem związany przysięgą.

—

Dobrze, na razie nie będę nalegał. Kiedy i w jakich okolicznościach poznał pan Wójcika vel Koteckiego?

— Zналиśmy się krótko, od zeszłorocznej zabawy sylwestrowej.

— Czy Kotecki był waszym szefem?

— Tak. Andrzej był wspaniałym chłopcem. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jakiego zabiliście człowieka.

—

Rozumiem pańskie uczucia, ale ocenę jego osoby zechce pan zostawić komu innemu.

— Bywają różne punkty widzenia — enigmatycznie odpowiedział Daniel.

— Jak doszło do powstania waszej grupy?

— Jej geneza i rozwój łączą się ściśle z osobą Andrzeja. On był jej twórcą i mózgiem. Los obdarzył go nieprzeciętną inteligencją i dużymi zdolnościami organizacyjnymi. Cechowała Andrzeja odwaga i pogarda śmierci. Nęciła go perspektywa życia z przygodami, lubił ryzyko i hazard. Jego dewizą było żyć krótko, ale intensywnie. Wszystkie nasze akcje przebiegały, jak przekonaliście się na własnej skórze, w warunkach całkowitego zaskoczenia.

W szybkości działania Andrzej widział gwarancję ich sukcesu. Wylicznymi tu wa-lorami, a także innymi. Andrzej zdobył od początku nasze umysły i serca. Byliśmy gotowi pójść za nim choćby .w ogień...

— Proszę powiedzieć — przerwał Zaremba — jak to możliwe, żeby człowiek tego pokroju co pan: zdolny do entuzjazmu, inteligentny, wykształcony, umiejący reagować refleksyjnie — działał jak pospolity opryszek i zabijał ludzi?

— Zabijał ludzi? O czym pan mówi? Nikogo dotąd umyślnie nie zabiłem I

— Niech się pan dobrze przyjrzy tym fotografiom — Zaremba wyjął z szuflady powiększone zdjęcia zamordowanego Bednarza — poznaje pan?

— Kto to jest? O czym pan mówi?

— W nocy z drugiego na trzeciego kwietnia na ulicy Radnej został zamordowany sierżant MO, Arka-diusz Bednarz. Z pistoletu wówczas mu zrabowanego oddaliście strzały we Wrocławiu... Jestem więcej niż pewien, że automat znaleziony dzisiaj w ruinach domu przy ulicy Sadowej również należał do Bednarza.

Wynik badań laboratoryjnych będę miał na biurku za parę godzin.

— Oświadczam kategorycznie, że nigdy nie brałem udziału w zamachu na milicjanta...

— Skąd zatem mieliście jego broń? — nacierał Zaremba.

— Dostaliśmy od Andrzeja.

— Czy to znaczy, że Andrzej...

—
Nie, nigdy nie uwierzę! — zaprotestował gwałtownie Daniel. — Mogę przysiąc, że panowie się mylą.

Andrzej nie mógł czegoś podobnego zrobić. Dzisiaj widziałem go po raz pierwszy strzelającego. Byliśmy w sytuacji przymusowej. Osaczyliście nas.

— Jak więc zdobył broń?

— Nie wiem! On przyniósł ją, ale...

— Nie ma żadnego ale! Broń została zrabowana milicjantowi, którego fotografie oglądał pan przed chwilą!

— Nie wierzę.

— W co pan nie wierzy? Fotografie są autentyczne.

—
Nie wierzę, żeby Andrzej był zdolny do popełnienia tak ohydnej zbrodni. Zawsze nas przestrzegał przed zabijaniem kogokolwiek.. : Mam jeszcze inne argumenty. Kiedy Lutyński zbyt silnie uderzył w głowę kierowniczkę sklepu — wie pan o kogo chodzi? — Andrzej zrobił mu wścieklą awanturę. Nigdy zresztą nie nosił

pistoletu. Zawsze ja go miałem.

— A kto strzelał we Wrocławiu? — podchwycił Zaremba.

— Ja strzelałem. Ekspedient rzucił się na Andrzeja. Chwila była groźna.

Niech pan pamięta jednak, że postrzeliłem go tylko w ramię, podobnie jak pana dzisiaj. Zrobiłem to świadomie.

— Jest pan dobrym strzelcem! Gdzie pan się tak wyćwiczył?

— Lubiłem pukać z wiatrówki.

— Co Andrzej mówił, kiedy przyniósł broń? Chyba zainteresowało was, skąd ją ma?

— Naturalnie, rozmawialiśmy na ten temat. Znalazł ją w jakiejś piwnicy zaraz po wyzwoleniu.

— I pan uwierzył w tę bajeczkę?

— Dlaczego miałem mu nie wierzyć? Zawsze był z nami szczery. Nie przyłapaliśmy go nigdy na kłamstwie.

— Powrócimy jeszcze do tej sprawy — zdecydował Zaremba. — Proszę teraz powiedzieć, do czego była wam potrzebna biżuteria. Chyba nie chcieliście otworzyć konkurencyjnego sklepu jubilerskiego?

— Pan sobie kpi ze mnie!

— Ani trochę. No więc?

— Nasza organizacja potrzebowała pieniędzy...

—
Organizacja? Jaka organizacja'? — przerwał szczerze zaskoczony Zaremba.

— Czyżby pan, panie kapitanie — jeżeli się nie mylę

— nie słyszał o naszych akcjach? A to dobre! Cała Warszawa aż huczała, a kapitan milicji nic nie wie.

— Chodzi może o wysadzenie ostatnio rurociągu i sabotaż na kolei?

— A więc jednak coś pan słyszał...

— Brał pan udział w tych akcjach?

—
Nie.

— A Kotecki i Lutyński?

— Też nie.

— No więc ostatecznie, kto?

—

Zapewne jakaś inna grupa... Do nas należało jedynie zdobywanie środków materialnych.

—

Kto i komu przekazywał zrabowane kosztowności?

—

Zawsze zajmował się tym Andrzej. On tylko kontaktował się z tamtymi.

— Zaraz, zaraz, czy dobrze zrozumiałem: nic nie zostawialiście sobie?

— Pan nas obraża, mnie i moich poległych kolegów! Jeżeli jestem waszym więźniem, to jeszcze nie powód, żeby mnie obrażać. Służyliśmy idei, wielkiej idei.

— Jakiej?

— Zwalczaliśmy porządek społeczny, ustanowiony i podtrzymywany przez takich między innymi jak pan!

— Wysadzając jakiś tam mało znaczący rurociąg?

—

To był dopiero początek.

— Nie chcę pana urazić, ale wszystko, co pan teraz powiedział, jest wprost dziecinne i śmieszne.

— Szanuję pańskie zdanie. Ja mam inny pogląd.

— Pan jest fanatykiem!

— Tak, jestem nim i wcale się tego nie wstydzę.

— Pan ma najmniej powodów do zwalczania Polski Ludowej!

— To prawda, ale nie o mnie przecież chodzi.

— A o kogo?

—

Pan nigdy nie zrozumie. Po prostu inaczej widzimy i myślimy.

— Jak się nazywa ta pańska organizacja?

— Nie wiem!

— Jaki jest jej program działania?

— Ostateczny cel walki znają tylko przywódcy. Ja byłem zwykłym żołnierzem.

— Jaki jest pański pseudonim?

— Nie miałem żadnego.

— Niech się pan dobrze zastanowi, panie Daniel. Oto należy pan do organizacji, której nazwy i programu nie zna, nie ma pan pseudonimu, nie wie pan, na jakie cele przeznaczane są środki, zdobywane przez pana z narażeniem życia — własnego i innych... Coś mi tutaj nie gra... Albo pan tę całą historyjkę zmyślił, albo jest pan skończonym głupcem.

— Wszystko, co powiedziałem, jest zgodne z prawdą!

— Skoro tak, to nie zna pan całej prawdy. Teraz ja panu powiem prawdę.

Zdaje się, że ktoś z was zrobił

balona. Nie przyszło panu nigdy do głowy, że organizacja, do której pan rzekomo należy, w ogóle nie istnieje, że jest po prostu mistyfikacją?

— Jest pan bardzo przebiegłym człowiekiem, panie kapitanie. Chce pan skruszyć podstawę, na której zbudowałem swoje życie. Nie uda się panu ten manewr! Organizacja, mimo naszej wpadki, żyje i żyć będzie.

dzie.

— Może pan myśleć, co się panu żywnie podoba. Sam pan kiedyś zobaczy.

Oby tylko, mój panie, nie było wtedy za późno.

— Proszę mnie nie straszyć!

— Pożyjemy, zobaczymy... Teraz zacznijmy z innej beczki...

— Słucham!

— Czy w swej działalności konspiracyjnej spotkał

pan kiedyś blondynkę o niebieskich oczach i wysokiego, przystojnego mężczyznę z blizną na lewym policzku?

— Raz widziałem Andrzeja w towarzystwie takiej właśnie dziewczyny.

Przypadkowo zobaczyłem ich razem, na ulicy. Zapytałem później, skąd wytrzasnął taką cizię. Dobrze pamiętam, że użyłem tego określenia, gdyż Andrzej bardzo się oburzył. Zawołał: „Jak śmiesz nazywać ją cizią... Znam tę dziewczynę od dziecka”. — Już więcej jej nie widziałem. A o mężczyźnie z blizną nic nie wiem.

— I ostatnie pytanie. Co pan wie o kontaktach i o życiu prywatnym Andrzeja Wójcika vel Koteckiego?

—

Nic lub prawie nic. Kiedyś mimochodem powiedział, że pochodzi z małego miasteczka, ale nazwy nie wymienił, a może ja zapomniałem..

— Trudno mi w to uwierzyć — kończył rozmowę Zaremba, przekonany bardziej niż przedtem, że klucz do rozwikłania tej skomplikowanej sprawy miał w swymi ręku Kotecki. — Na dzisiaj dość — powiedział.

—

Jutro ponownie pana przesłuchamy, ale już z udziałem protokolanta.

Proszę sobie wszystko dobrze

przypomnieć, zwłaszcza co dotyczy osoby Koteckiego.

— Aha, jeszcze jedno! — Zaremba udał, że sobie coś właśnie przypomniał.

— Kto was zdradził?

— Zdradził?

— Przecież nakryłem was nieprzypadkowo.

— Więc skąd wiedzieliście?

— A stąd, że ktoś z waszych do mnie zatelefonował, ledwie zdążyliście wejść do sklepu.

Organizacja na takim poziomie i zdrada?

— Panie kapitanie, to najmniej udana z pańskich sztuczek — odciął się zimno Daniel.

— No cóż, wobec takiego zaślepienia można panu tylko współczuć.

DZIENNIKARZ

Minęło parę miesięcy. W połowie października Zaremba spotkał przypadkowo na Krakowskim Przedmieściu — w drodze na uniwersytet, na którym znowu podjął studia zaoczne — znajomego dziennikarza.

Dawniej przychodził on dość często do komendy po nowe materiały. Wtedy pracował w „Expressie Wieczornym”, gdzie prowadził rubrykę wypadków.

Od dłuższego czasu nie pokazywał się. Wyjaśnił, że jest teraz kierownikiem zespołu redakcyjnego w wydawnictwie morskim. W dalszym ciągu jednak bardzo żywo interesuje się problematyką kryminalną. Obiecał Zarembie postarać się o najnowszą literaturę zagraniczną z tego zakresu. Wstąpili razem na lampkę wina. Skończyło się na flaszcze koniaku, którą wytrąbili, ale już nie w kawiarni, lecz w mieszkaniu Dzikiego — bo nie obeszło się bez brudzia.

Dzidek tak długo molestował swego gościa, aż ten w końcu uległ i opowiedział mu o kilku szczególnie interesujących śledztwach, jakie ostatnio prowadził. Sprawę Daniela zarezerwował na deser. I ona właśnie najbardziej zafrapowała wścibskiego dziennikarza.

Napełniając któryś z rzędu kieliszek zapytał:

—

Na czym to stanęliśmy? — I zaraz sobie przypomniał, że opowieść przerwana została w tym miejscu, kiedy Daniela wezwano na pierwsze oficjalne przesłuchanie. — Co było dalej? — zapytał niecierpliwie.

— Myślałem — ciągnął Zaremba — że jak facet się prześpi, to wywietrzeją mu z głowy te fantasmagorie. Skądże, dalej klepał o tej swojej organizacji i domagał się, żeby wszystko zaprotokołować. Dopiero kiedy śledztwo było już na ukończeniu, wyczułem, że zaczyna się trochę łamać. Teraz on zarzucał

mnie pytaniami: Dlaczego tak bardzo interesuję się Andrzejem? Jaki związek ze sprawą ma blondynka? Kim może być gość z blizną? Co mogłem odpowiedzieć, skoro sam gubiłem się w domysłach.

— A jak właściwie było z dziewczyną i z jej facetem?

— przerwał niecierpliwie Dzidek. — Czy rzeczywiście mieli jakiś związek z tą całą hecą?

— Ja byłem i jestem o tym przekonany. Ale cóż z tego, jeżeli nie potrafiliśmy ich zidentyfikować. Wyprawiałem różne cuda, żeby tylko wpaść na trop dziewczyny: przez bite trzy miesiące Majka nic innego nie robiła, tylko uganiała się z moimi chłopcami po ulicach, po kawiarniach, po dworcach i tak dalej. I figa, nigdzie jej nie spotkali! Tak było i z tym gościem, który miał bliznę. Zapadł się w ziemię jak kret.

— Czekaj, czekaj, a co z Kurkową — tym niedoszłym trupem w wannie? — przypomniał sobie Dzidek.

—

Żyje i pracuje jak dawniej. Stała się tylko ogromnie podejrzliwa.

Założyła w drzwiach swego mieszkania patentowe zamki i gruby jak z obory łańcuch. Za boga nie wpuści nikogo do chałupy. Opracowała wraz ze swą ekspedientką własny system bezpieczeństwa w sklepie, a klucze zanosi do komisariatu.

— A co z „Wiryną” i innymi osobami?

— Nie warto o nich mówić, odpadli w przedbiegach. Kiedy załatwiono Bednarza, „Wiryna” siedział

właśnie w kozie po tęgim ochlaju. A facet w berecie, który rozmawiał z sierżantem w pobliżu komendy garnizonu, okazał się ko legą frontowym Bednarza.

— Czym więc to wszystko się skończyło?

— Dla mnie kompletną plajtą. Dziewczyny i faceta nie odnalazłem, o tym już wiesz. O Andrzeju Wój-ciku

— Koteckim dowiedziałem się tyle, że mieszkał na Złotej, oczywiście pod fałszywym nazwiskiem. I tu nic się urwało. Większość biżuterii przepadła.

Czego

więcej trzeba, aby zasłużyć na medal?

— A dostałeś?

— Co?

— Ten medal?

— Dostałem, ale nie myśl, że za postrzeloną rękę. Inny numer mi się udał.

To była dopiero koronkowa robota. Ale tamtą historię opowiem ci przy następnej butelce koniaku, już u mnie.

—

Słuchaj, bracie, my sobie gadu-gadu, a zapomniałeś o najważniejszym...

— O Danielu? — domyślił się Zaremba. Dostał „krawat” w pierwszej i drugiej instancji. Było za co: zmarł chłopiec postrzelony przypadkiem na ulicy. Pamiętasz? Ten, który był ranny w brzuch. Pocisk pochodził z pistoletu Daniela. Do tego doszło postrzelenie kierownika sklepu we Wrocławiu, no i mnie.

Zaremba długo pamiętał swą pierwszą rozmowę z Danielem. Długo, nie znaczy zawsze. Życie biegło naprzód. Rzucano na biurko kapitana nowe stopy akt. Teczka oznaczona kryptonimem „Jubiler” powędrowała z czasem do archiwum. Zdawało się, że na zawsze...

CZĘŚĆ DRUGA

ŚMIERĆ W ALTANIE

Doktor medycyny, Edward Słomski, od lat najmłodszych kochał morze.

Zawsze jednak żył i pracował z dala od niego. I dopiero po przejściu na emeryturę w roku 1960 mógł na stałe osiąść na Wybrzeżu.

W czasie swych długich pieszych wędrówek po okolicach Gdańska znalazł wreszcie coś odpowiednie-go. Ulica Podleśna przecinała łagodnym łukiem wysoką skarpe, porośniętą u góry gęstym lasem. Na dość stromych stokach jej naturalnego wąwozu nie było na razie zabudowań, poza willą z obszernym ogrodem inżynierostwa Górskich. Posesja ciągnęła się wzdłuż prawej strony ulicy licząc od dojazdu z miasta.

Po stronie lewej doktor Słomski zakupił wolną parcelę, zmobilizował swe oszczędności, zaciągnął po

życzkę i tak pod koniec 1962 roku powstała willa „Eskulap”. Jej niebanalna nazwa była po trosze wyrazem przekory: najbliższa bowiem i jedyna sąsiadka miała nieco pretensjonalne imię „Afrodyta”.

Z okna sypialni doktora cała posesja sąsiadów widoczna była jak na dłoni.

Willa doktora bowiem, a raczej piętrowy drewniany bungalow, położona była znacznie wyżej. Miało to przede wszystkim tę zaletę, że pozwalało doktorowi obserwować w dzień i w nocy ukochane morze.

Doktor czuł się więc świetnie w swym niedużym, lecz wygodnym domu. Miał wokoło wymarzoną ciszę i pobliski las do spacerów. Willa „Afrodyta” była zawsze cicha i milcząca.

Niestety — sielanka trwała tylko do -dnia powrotu jej właścicieli z dwuletniego bodaj pobytu za granicą. Spokój starego kawalera przysł jak bańka mydlana.

Inżynierostwo Górscy, jak się okazało, prowadzili tryb życia wystawny i...

głośny. Parę razy na tydzień, zwykle do późnej nocy, a czasem i do rana, dochodziły z willi „Afrodyta” tony hałaśliwej muzyki, ostre pokrzykiwania tańczących, chóralne śpiewy.

Rzecz jasna — „wolność Tomku w swoim domku”, ale doktor uznał pewnego dnia, że jego przysłowio-wa wprost cierpliwość jest na wyczerpaniu. Udał się więc do willi zbyt wesołych sąsiadów. Zszedł wąskim chodnikiem na ulicę, z kolei zrobił kilkanaście kroków w górę po schodach aż do drzwi „Afrodyty”.

Otworzyła mu pani inżynierowa. Znał ją dotąd jedynie z widzenia. Przez mały hall wejściowy przeszli do wielkiego pomieszczenia, zajmującego prawie cały parter obszernego budynku.

Utalentowany architekt stworzył wewnątrz wprost olśniewające rozmachem i dobrym gustem. Całość podzielił dekoracyjnymi ściankami, kamiennymi słupami, a nawet wielkim, podświetlonym akwariem, na parę jakby odrębnych, lecz zharmonizowanych zakątków. Była więc i część salonowa z kominkiem obłożonym blokami granitu, i bar w stylu czysto amerykańskim, i zaciszny budurek, do którego zaprosiła go pani Górka.

Badawcze oko doktora od razu oceniło walory tego niebanalnego wnętrza, a doświadczenia zebrane przy budowie własnego domu zrodziły myśl: Do diabła, ileż to musiało kosztować!

Siedząc w wygodnym fotelu i sącząc powoli smaczny koktajl, obserwował niepostrzeżenie inżynierowa.

Wprawne oko lekarza nie mogło się mylić w ocenie jej wieku. „Trzydzieści jak strzelił!” — pomyślał. Ale wyglądała znacznie młodziej. Nie miała klasycznej urody — atutem był tu wrodzony wdzięk, gracia każdego ruchu, melodyjny głos. Była ubrana z prostotą, która — wbrew pozorom — bywa bardzo kosztowna.

Doktor ze swobodą człowieka doskonale wychowanego przystąpił do wyjaśnienia celu swej niezapowiedzianej wizyty. Czy można by było...

zabawy nocne... najgorzej przy wyjściu gości z willi... głośne rozmowy...

zapuszczanie silników...

Pani inżynierowa była wyraźnie zażenowana. Przyznała od razu rację szanownemu sąsiadowi. Podkreśliła, że liczniejsze sympozja towarzyskie odbywają się w „Afrodyce” w środy i soboty.

— W środy przyjmuję moich przyjaciół — wyjaśniła

— rozmawiamy, słuchamy recytacji nowych wierszy, czasem ktoś zaśpiewa przy fortepianie...

Jestem

pewna, że moje wieczory artystyczne nie mogą panu przeszkadzać, doktorze!

Gorzej z sobotami, kiedy przyjmuje swych przyjaciół inżynier (powiedziała na pewno „inżynier” a nie

„mój mąż”!) Oczywiście powtórzę mu pańskie zastrzeżenia. Polecę służącej, aby pamiętała o zamykaniu okien. Wymyślę coś z tymi samochodami... Czy wystarczy panu doktorowi na razie moje serdeczne przepraszam?

I piękna pani skłoniła z lekka głowę.

Interwencja doktora nie odniosła widocznego skutku. Przeniósł więc swą sypialnię na tyły domu. Inżyniera nigdy nie poznał osobiście. Wymieniali jedynie ukłony — i jak to sąsiedzi.

Z mieszkańcami willi „Afrodyta” doktor Słomski miał się spotkać wkrótce w nader dramatycznych okolicznościach.

Huk strzału był nieco przygłuszony, lecz donośny. Zdawało się, że nocny strzelec stoi pod samym

domem doktora.

Słomski zerwał się z fotela. Podeszedł szybko do okna, otworzył je, wychylił się głęboko. Ale noc była cicha. Nie dostrzegł

nikogo w pobliżu „Eskulapa”.

Willa „Afrodyta” błyszczała wszystkimi oknami jak wielka latarnia.

Dochodził z jej wnętrza szum wielu głosów, dźwięki muzyki bigbitowej. Jej ogród natomiast był pusty. Wysoka latarnia uliczna oświetlała swym jaskrawym, jarzeniowym blaskiem ogrodowe ścieżki, zbiegające od willi po zboczu wzgórza aż do zamykającej ogród wielkiej murowanej altany.

Wsparta na wysokim podmurowaniu, chroniącym skarpe od spełnienia, wyniesiona na parę metrów ponad poziom ulicy — altana wydawała się tym bardziej biała w ostrym świetle latarni, jakaś nierzeczywista.

Doktorowi zdawało się przez chwilę, że w jej wnętrzu leży jakiś ciemny, wydłużony przedmiot. Pomyślał jednak, że to cień jednej z kolumn tworzących altanę, i wrócił do przerwanej pracy przy biurku.

Spojrzał na zegarek — takie to już miał lekarskie przyzwyczajenie — było dokładnie trzy minuty po dwunastej.

Przeszło spokojnie siedemnaście minut (doktor

znowu zerknął na zegarek), gdy doszły go z przeciwka głośnie okrzyki i nawoływania. Ogród sąsiadów przedstawiał widok zgoła inny: pełen był ludzi krążących po alejkach — ich głosy dochodziły nawet z zarośli. Nagle rozległ

się krzyk kobiety, jeden wysoki, wibrujący ton — straszny. Tak krzyczy człowiek w chwili największego przerażenia lub rozpacz.

Doktor widział, jak wszyscy biegną w stronę altany. Zapadła na krótko napięta cisza. Później doszły go wołania: „Ratunku! Doktora, doktora!!!”

Słomski podeszedł do szafy. Wyjął torbę lekarską z narzędziami. Zszedł szybko na dół.

Tragiczna śmierć inżyniera Pawła Górskiego poruszyła mieszkańców Trójmiasta. Wprawdzie inżynier przebywał ostatnio przez lat parę za granicą, a i przedtem był znany raczej w wąskim środowisku ludzi dys-ponujących znacznymi dochodami, ale sprawa ta stała się od razu głośna.

Opinia publiczna była zaniepokojona. Szczególniej przez pierwsze dni miasto trzęsło się od plotek.

Obfitą dla nich pożywką było całkowite milczenie organów śledczych. Po pierwszej informacji o doko-

naniu morderstwa na osobie właściciela willi „Afrodyta” nie publikowano żadnych dalszych szczegółów: kto, jak i dlaczego. Wiadomo było jednak, że śledztwo jest nadal prowadzone, i to przy udziale wybitnych specjalistów z Warszawy.

Natura nie znosi próżni. W zadymionych kawiarniach z tym większym zapałem komentowano zamieszczane w prasie miejscowej i nawet stołecznej nekrologi. Znający bliżej denata uśmiechali się znacząco. Lecz dla szerszego ogółu nekrologi były potwierdzeniem poniesionej przez społeczeństwo straty.

A BYŁO TAK WESOŁO

Specjalistów z Warszawy skierował do Gdańska podpułkownik Jacek Zaremba, od kilku już lat naczelnik Wydziału Zabójstw Biura Kryminalnego Komendy Głównej MO. Fakt ten świadczył raz jeszcze, jakie poruszenie wywołała zbrodnia gdańska również w środowisku stołecznym.

Zjechali więc do Gdańska oficerowie milicji — Jan Karoń i Henryk Wollman.

Zabrali się od razu do pracy, przy pełnej pomocy technicznej miejscowego wydziału służby kryminalnej.

Karoń, major dopiero od kilku miesięcy, ale wieloletni oficer śledczy z zamiłowania i wykształcenia, miał wśród kolegów po fachu opinię „Zosi Samosi”. I było w tym sporo racji. Rzeczywiście Karoń, nie sta-rając się nigdy o dyskutowanie wyłącznie na swój rachunek wszelkich sukcesów zawodowych, żywił wrodzoną niechęć do zbiorowych

— i nierzadko bezpłodnych — dyskusji w trakcie prowadzenia śledztwa.

Pomocnikiem Karania w wielu już przeprowadzonych akcjach bywał niezmiennie porucznik Wollman, bardzo lubiany przez wszystkich kolegów i nazywany pieszczotliwie Heniusiem.

Na początku Heniusz przygotował dla Karania dokładny wyciąg z dotychczasowych ustaleń milicji, z zeznań uczestników ostatniej zabawy w willi „Afrodyta”.

W dniu 14 maja 1963 roku, w tradycyjną sobotę, goście zebrali się jak zwykle między godziną dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą. Z początku nastrój był nieco sztuczny. Zawinił pomysł pani

Małgorzaty Górskiej, Masi — jak nazywali ją wszyscy przyjaciele —

połączenia, w porozumieniu z mężem, tego dnia obu tak odrębnych grup ich przyjaciół. Cel pani Masi miała zaiste szlachetny: chodziło jej o „złagodzenie obyczajów” grupy męzowskiej, a przy okazji — o dotrzymanie obietnicy danej staremu lekarzowi.

Pomysł ten stał się dla pani domu klęską! Przeniesienie atmosfery wśród literackich w pijackie środowisko paczki męża zawiodło; pani Masia obserwowała z rosnącym przerażeniem, jak jej goście, jej intelektualiści rozklejają się w oczach, upodabniają we wszystkim do „tamtych”.

Około godziny 23 minut 45 pan domu wyszedł przez taras do ogrodu. Nikt z obecnych nie wiedział, że opuszcza swój dom po raz ostatni. Nieco później, ale na pewno przed północą, wyszła za nim inżynierowa.

Wróciła już po kilku minutach.

W chwilę po niej wrócił do salonu bliski przyjaciel pani domu, popularny na Wybrzeżu aktor i piosenkarz, Waldemar Zmorski. Nikt nie zauważył, przez jakie drzwi i kiedy Zmorski wychodził do ogrodu.

Zresztą w dokładnym oznaczeniu czasu wyjścia trzech osób i powrotu już tylko dwóch gości różnili się znacznie. Wszyscy natomiast byli zgodni co do jednego: od wyjścia inżyniera przeszło jeszcze około pół

godziny, zanim ktoś z obecnych nie zawołał: „A gdzie jest kochany gospodarz?”

Dopiero wówczas zauważono przedłużającą się ponad miarę przyzwoitości nieobecność pana domu.

Ktoś zaproponował wspólne poszukiwanie „zaginionego bez wieści”. Pomysł

przyjęto z aplauzem, jako jeszcze jedną atrakcję świetnej zabawy. W

wesołym gwarze, żartując i błaznując całe towarzystwo przeszło na taras i do ogrodu. Musiała być wówczas godzina 24 minut 20, tak bowiem twierdził w swym zeznaniu doktor Słomski. Goście sądzili, że inżynier wypił za dużo i po prostu zdrzemnął się beztrząsco na jednej z ławek...

Rozbawiona, rozmarzona świeżym powietrzem kompania myszkowała po zakamarkach ogrodu.

Nagle zmieszane głosy przeciął krzyk kobiety.

Krzyczała inżynierowa. Ona pierwsza doszła do altany i ona pierwsza spostrzegła ciało swego męża. Goście nadbiegali teraz jedni za drugimi.

Milkły stopniowo podniecone głosy. Widok wnętrza altany mógł od razu otrzeźwić najbardziej nawet podchmielonych.

Pośrodku, na marmurowej posadzce, leżał bez ruchu inżynier Górski. Ostre światło latami zdawało się powiększać jego głowę. Wokół niej lśniła czarna kałuża krwi.

Usiłowano nieporadnie okazać jakąś pomoc. To wtedy właśnie doktor Słomski usłyszał wołanie o lekarza. Niestety — mógł tylko stwierdzić śmierć Pawła Górskiego.

Nader niepomyślną okolicznością było, że skupieni bezładnie wokół ciała denata goście zatarli całkowicie wszelkie ślady — w samej altanie i w jej pobliżu. W dodatku przy próbach ratunku wielokrotnie zmieniano początkowe położenie zwłok.

Utrudniło to ogromnie późniejsze śledztwo.

Ustalono w czasie sekcji, że pocisk, zapewne dużego kalibru, trafił Górskiego w lewe oko i wyszedł tylnym otworem — w okolicy ciemieniowej. Ze spowodował rozległe zniszczenia mózgu i kości czaszki. Nie istniały wyraźniej zaznaczone otwory: wejściowy i wyjściowy. Pocisk przebił głowę na wylot i zaginął. W

jakiej części ogrodu go szukać?

Ustalono, że strzał był oddany z odległości co najmniej kilkunastu metrów, brak bowiem było na twarzy denata resztek nie spalonego prochu.

Samobójstwo w tych warunkach od razu więc wykluczono.

— Szukajcie pocisku, szukajcie broni! — powtarzał Karoń gdańskim kolegom. I poszukiwania trwały.

ROZMOWY MAJORA KARONIA

Z kolei przeszedł Karoń do następnej fazy swej pracy, przeprowadzając serię rozmów ze świadkami lub osobami, których informacje mogłyby mu pomóc.

Nie, nie były to żadne badania. Nikt nie protokołował zeznań, nikogo nie brano „w krzyżowy ogień pytań”. Ot, po prostu Karoń, zresztą ubrany po cywilnemu, zapraszał kolejno na rozmowę do swego, czasowo przydzielonego pokoju w komendzie MO. Niekiedy nawet przeprowadzał taką rozmowę w mieszkaniu wybranej osoby.

Po rozważeniu znanych nam już informacji doktora Słomskiego, przysłała kolej na rozmowę z aktorem i piosenkarzem Waldemarem (naprawdę —

Wincentym) Zmorski m. Wniósł on do sprawy wiele.

Uważał się za bliskiego przyjaciela pani Masi. Wiedział wszystko o małżeńskim życiu Górskich.

Mieszkali jeszcze razem, lecz już w oddzielnych sypialniach...

— Masię lubię ogromnie — zwierzał się tonem konfidencjonalnym Zmorski. — Nie widzę zresztą powodu, aby ukrywać przed panem, majorze, całą prawdę: moje stosunki z Masią od pewnego już czasu były bardzo bliskie

— najbliższe, jakie być mogą między kobietą i mężczyzną...

— Rozumiem, ale inżynier Górski?...

—

Ba, pozostawiali sobie wzajemnie całkowitą swobodę! Górskiemu zależało jedynie na jakim takim zachowaniu pozorów, „co ludzie powiedzą”...

Ludzie

— po prostu miejscowa kołtuneria. Przychodziłem na Podleśną w różnych porach dnia. To pana pewnie zaskoczy, lecz lubiliśmy się z inżynierem.

— Co pan wie o dochodach i wydatkach inżyniera?

— indagował dalej Karoń. — Ile przynosił sklep z antykami pani Górskiej?

— Dochodami Pawła nigdy się nie interesowałem i nic na ten temat nie mogę powiedzieć. Co do sklepu

—
dawał czystego dochodu parę tysięcy miesięcznie. Teraz brak antyków, po prostu nie ma czym handlo-wać. Nie wrócą dawne poniemieckie okazje!

— Postawię panu teraz pytania drażliwe: jaką rolę w stosunkach pana z panią Górską grała jej zamożność? Czy nie finansowała przypadkiem pana...
wydatków?

— Jak pan może! — obruszył się aktor. — Ja zarabiałem i zarabiam bardzo dobrze. Oczywiście, nie mam na myśli etatu w teatrze, lecz różne chałtury estradowe... Wcale nie muszę być pracusiem, mamy ostatnio z zespołem stale bitkomy, pan wie — komplety na widowni. Kiedyśmy z Masią odwiedzali

lokale, to Masia czasem płaciła za siebie, lecz nigdy nie płaciła za mnie... Co to to nie! Pozwoli pan major uważać te dwa pytania za... żart?

— Oczywiście, żartowałem! Ale raz jeszcze wystawię na próbę pańską drażliwość w tych sprawach: czy w wypadku zgonu inżyniera mógł pan liczyć na małżeństwo z wdową po nim?

— Pan apiać swoje! Nie było między nami nigdy mowy o małżeństwie! —

zawołał Zmorski. — Niech pan mi wreszcie uwierzy: strona materialna naszej przyjaźni z Masią nie była przedmiotem mego zainteresowania...

O pamiętnej zabawie aktor mówił rzeczy raczej znane już majorowi.

Przyjechał na Podleśną grubo po dziesiątej — nawalił z terminem warsztat samochodowy. Wtedy już ochłaj był na całego. Szła tylko oczyszczona.

Wielu gości było już w drebiezgi pijanych. Reszta flirtowała po kątach. Kilka par skryto się w zakamarkach obszernej willi.

— Mniej więcej na kwadrans przed północą—wiem, bo akurat spojrzałem na duży zegar kominkowy

— wyszedłem za Masia na taras. Nikoqo tam nie było. Zawołałem ją niezbyt głośno. Nie odpowiedziała.

Chyba po pięciu minutacli wróciłem do salonu. Rozminąłem się widocznie z Masią, była już wśród swych gości. Po znalezieniu zwłok nie zauważyłem nic podejrzanego w ogrodzie i na ulicy. Nadbiegł doktor zupełnie ubrany. Gniewał się, że poruszono ciało...

— I miał rację, dorośli nie powinni zachowywać się jak dzieci — zauważył z ukrytą intencją major. — I jeszcze jedno, już ostatnie pytanie: czy był pan wtedy w altanie? Czy pan się do niej zbliżał? Czy nie dostrzegł pan w niej Górskiego?

— Nic, nie i nie! Jestem tego absolutnie pewien. Widzi pan — nikt tej altany nie lubił: w dzień było tam albo zbyt upalnie, albo zbyt wietrznie, a w nocy raziło w oczy ostre światło latarni...

—
To byłoby już wszystko, proszę tylko o nieopuszczanie w najbliższym czasie miasta!

— Rety! Panie majorze, litości! Przecież ja mam ciągle wyjazdy artystyczne w teren! Chcecie, abym umarł z głodu? Taki artysta i w tak młodym wieku ?

—
błaznował Zmorski.

— No dobrze już, dobrze — roześmiał się major. — Niech pan sobie jeździ na zdrowie, proszę jedynie, na wszelki wypadek, informować tutejszą milicję, gdzie pan się znajduje każdego dnia.

— Dziękuję panu serdecznie, panie majorze.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

O ile Zmorski wywarł na Karaniu wrażenie raczej sympatyczne, o tyle inny świadek, inżynier

Sylwester Gabryś, od razu mu się nie podobaj.

Tamten był schludny, zadbany, ten — mimo pozorów elegancji i modnego garnituru — wyglądał jakoś niechlujnie. Siedział na krześle przed biurkiem Karania i patrzył mu z gotowością w oczy.

— Śmierć Pawła była dla mnie strasznym ciosem!

— zalił się Gabryś. Jak ja tego człowieka kochałem!

Trzymaliśmy się zawsze razem od czasów polibudy.

— Skąd Górski miał pieniądze na zbudowanie takiej willi? On w ogóle, jak się zdaje, lubił szastać pieniędzmi? Czy aż tyle zarabiał?

— Hm, powiedział mi kiedyś, że dostał duży spadek po rodzicach, jaki, nie wiem. U nas z tymi spadkami... Myślę, że dostawał coś z wynalazków... Grał

szczęśliwie w karty, i to na duże sumy. A może robił

na boku jakieś interesy? Miał do nich głowę, miał... Lubiał fundować kolegom, stawiał nierzadko całą kompanii w knajpie. Lubiał powtarzać:

„Łatwo przyszło — łatwo poszło”.

— Co zdarzyło się tamtej nocy w willi „Afrodyta”? — spytał z kolei Karoń, niezadowolony, że nie potrafi wobec tego świadka opanować uczucia niechęci.

—

Paweł był przez cały czas jakiś nie-swój — opowiadał Gabryś. — Wyszedł do ogrodu chyba po jedenastej. Za nim wyszli razem Masia i ten jej sztywniak z teatru. Wrócili razem, ale bez Pawła. Masia wydała mi się zdenerwowana. Jej amant był jak zawsze nijaki.

I nagle Gabryś się przeistoczył. Wyprostował się na krześle, zaczął mówić podniesionym głosem, niemal krzycząc:

— Panie majorze! Powiem panu, co myślę! To oni, właśnie oni. Masia ze swoim playboyem, ukatrupili

Pawła! Bała się, że w razie wyjazdu Pawła z kraju, pieniążki mogą zrobić fiuuu!!! Upilnowali go, jak siedział podpity w altanie. Ona go zagadywała, a Zmorski podszedł z boku i kropnął ze spluwy. Jak amen w pacierzu!

— Panie Gabryś — nie wytrzymał major — w panu się marnuje duży talent aktorski. Pan tu osmarował

Zmorskiego, ale on pracuje w swoim zawodzie, ma własne dochody, a pan żyje nie wiadomo z czego! Niegdyś ubogi szlachcic trzymał się kłamki pańskiej, ale żeby w naszych czasach człowiek z wyższym wykształceniem, inżynier...

Gabryś chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

— Jest pan dziś wolny! — powiedział z pewnym naciskiem major — i proszę nie opuszczać miasta.

Karoń po rozmowie z totumfackim Górskiego pojechał autem służbowym na Podleśną, gdzie był umówiony z wdową po inżynierze.

W czarnej sukni bez jakichkolwiek ozdób wyglądała jeszcze młodziej i ponętniej niż w czasie rozmowy z doktorem Słomskim. Zachwyty starego eskulapa ani trochę nie były przesadzone. Przez cały czas przedłużającej się wizyty, siedząc o trzy kroki od pani Górskiej, Karoń odnajdywał w jej postaci i sposobie bycia coraz to nowe i nowe uroki.

Pragnąc wytworzyć atmosferę jak najbardziej towarzyską major przyjął propozycję wypicia koktejlu.

Obserwując spod oka panią domu myślał:

Jeżeli boi się tej rozmowy, jeżeli czegoś nie jest pewna, to panuje nad sobą świetnie!

Karoń złożył na wstępie kondolencje w związku ze świeżą stratą. Podkreślił, że w żadnym razie nie będzie to badanie świadka. Dokładne poznanie środowiska, w którym obracał się inżynier Górski, może bardzo ułatwić dalsze śledztwo.

MAŁŻEŃSTWO PANI MASI

Pani Masia zaczęła opowiadać dzieje swego małżeństwa. — Niestety, bardzo nieudanego — powiedziała na wstępie.

Poznała inżyniera Górskiego pod koniec 1957 roku. Był wówczas świetnie zapowiadającym się fachowcem. Gdy chciał, umiał się podobać. Był młody, postawny, przystojny. Mało doświadczonej dziewczynie imponowały jego sukcesy towarzyskie, nawet — opinia Don Juana. A widoczna na każdym kroku za-możność epuzera, a luksusowa willa przy ulicy Podleśnej? To były ważne argumenty.

— Wkrótce wyszłam za niego. Nasz miesiąc miodowy okazał się właściwie tygodniem.

— Co było dalej?

— Dalej... — powtórzyła pani Masia. — Czy pamięta pan bajkę Kryłowa o szczupaku, łabędziu i raku, które zostały zaprzężone do jednego wozu i nie mogły ruszyć z miejsca? Trochę tak było z nami... — pani Masia uśmiechnęła się smutno.

— Wiązano pani nazwisko z osobą aktora Zmorskiego... — przerwał te zwierzenia Karoń.

— Zmorski? To miły chłopiec; jest niegłupi, zabawny, dobrze wychowany. Nigdy nie polował na moje pieniądze. Rządzi się zawsze czymś, co można nazwać męskim honorem.

— Jaka jest pani opinia o inżynierze Gabryśiu? — Karoń umyślnie go tak nazwał.

— Ach, ten Gabryś... Znienawidził mnie od pierwszej chwili naszego małżeństwa. Była to zazdrość o Pawła. Co ich naprawdę łączyło? Paweł

zabrał tę tajemnicę do grobu, a Gabryś oczywiście jej nigdy nie zdradzi.

Miałam zawsze wrażenie, że oni nawzajem coś o sobie wiedzą. I to coś związało ich na całe życie.

Mógł to być pewnego rodzaju dwustronny szantaż: tego, co wiem o tobie, nie powiem nikomu, ale pod warunkiem, że i ty będziesz milczał. Paweł

właściwie utrzymywał Gabryśia, a ten tolerował najdziwsze wybryki przyjaciela wobec siebie — oczywiście po pijanemu. Ohyda...

Z kolei pani Masia bardzo dokładnie opowiedziała majorowi cały przebieg wydarzeń. Karoń zadał jej wiele pytań, uściślił niektóre szczegóły.

— Pani relacja — powiedział z zadowoleniem — jest zgodna z tym, co zapamiętali inni. Mnie interesuje

również nagły wyjazd inżyniera Górskiego za granicę w roku 1961.

— Dla naszego małżeństwa ten rok był krytyczny. Pragnę panu o nim opowiedzieć. Gdzieś na samym jego początku, jeszcze w zimie, przeczytałam przypadkiem w „Życiu Warszawy” nekrolog jakiegoś Górskiego. Zapytałam męża, czy to nie jego krewny. Odpowiedział jak zawsze, że żadnych krewnych nie ma, a nazwisko Górskich powtarza się w warszawskiej książce telefonicznej aż 155 razy! W kilka dni później mąż pojechał do Warszawy.

Wrócił i wszystko pobiegło zwykłym trybem. Aż do historii z tą zabłąkaną kulą...

— Nie rozumiem, przecież w przypadku zbrodni dokonanej na pani mężu w żadnym razie nie można mówić o zabłąkanej kuli — zdziwił się Karoń.

— To była inna kula! — stwierdziła stanowczo pani Masia. — Ktoś ją wystrzelił w kierunku naszego domu na wiosnę 1961 roku.

Teraz Karoń podniósł nieco głos:

— Czemu pani przedtem o niej nie wspomniała?

Przecież to ma kolosalne znaczenie dla śledztwa!

—

Przepraszam, nie wiedziałam. Mąż wtedy zbagatelizował całą sprawę.

Obiecałam mu, że nigdy nikomu o tym nie powiem. Mówię to dopiero teraz, bo mam do pana zaufanie.

— Dobrze już, dobrze — pohamował się nie bez trudu. — Niech mi pani opowie wszystko o tym wypadku.

— A więc to było wieczorem. W końcu marca, może w początkach kwietnia.

Tego wieczora byliśmy sami w domu. Paliły się wszędzie mocne światła.

Czytałam książkę, Paweł — gazetę. Story nie były zasu-nięte.

— I co dalej, co dalej! — niecierpliwił się major. Zdawało mu się, że pani Masia mówi strasznie wolno.

— W pewnej chwili mąż wstał, przeszedł się po salonie, zbliżył do wielkiego okna na ulicę... Upadła mu na dywan zapalniczka i schylił się szybko, aby ją podnieść. W tej chwili zadźwięczało szkło w oknie, usłyszeliśmy słaby huk strzału. Coś uderzyło mocno w granitową obudowę kominka. Później posypał się tynk ze ściany.

Paweł był trupio blady. Pokazał mi otwór od kuli, mówił, że była to kula zabłąkana. Ktoś widocznie wystrzelił w lesie, kula wleciała przez okno, odbiła się od kominka i utkwiała w ścianie.

Szybę wymieniono nazajutrz, Paweł zasłonił dziurę z kulą w tynku małym obrazkiem.

Karoń poprosił o pokazanie obrazka z ukrytą kulą. Ale pod nim jej nie było...

Ktoś usunął pocisk i za- gipsował otwór.

Po oznaczeniu wysokości przypuszczalnego wlotu pocisku, major zbadał dokładnie granitowe bloki kominka. Niewidoczna prawie rysa, odłupane odrobiny kamienia...

Następnego dnia rano Karoń zabrał Heniusia i pojechał na Podleśną. Razem wymierzyli drogę pocisku w salonie. Następnie Heniusz mocną latarką świecił

od kominka w kierunku okna, Karoń zaś obserwował błyski latarki przez lornetkę z chodnika, prowadzącego z ulicy do willi doktora.

Zlekceważenie informacji eskulapa o tak bliskim jego domu huku wystrzału Karoń uznał w duchu za swój poważny błąd.

Od strony Podleśnej wobec dość ostrego spadku skarpy na której zbudowano dom lekarza, wzniesiono wysoki na metr przeszło murek z ciosanego kamienia. Uliczka była z obu stron wysadzana gęstymi krzewami, tworzącymi zielony tunel. Człowiek zajmujący pozycję do strzału za linią tego żywoplotu, przy samym murku, był całkowicie niewidoczny.

Oznaczywszy orientacyjnie, za pomocą poprzednich zabiegów, odcinek długości muru, zza którego mógł strzelać zamachowiec, obaj oficerowie centymetr po centymetrze penetrowali na klęczkach wąski pas ziemi przy murku i pod krzakami. Karoń odkrył wkrótce miejsce, z którego morderca strzelał po raz pierwszy, i z którego zapewne zastrzelił później inżyniera.

Cenniejszym odkryciem mógł się pochwalić Heniusz.

— Panie majorze, mam ją!!! — wołał uradowany.

Istotnie — na jego dłoni, podniesiona troskliwie przez chusteczkę, leżała długa łuska od naboju.

Na bezrybiu i rak ryba — przy braku obu pocisków trzeba było cieszyć się i znalezioną łuską. Można było

sądzić, że morderca oba razy posługiwał się tą samą bronią — na pewno dużego kalibru. Pierwszy

raz chybił. Nagłe schylenie się żywego celu przedłużyło życie ofiary o dwa lata.

SEJF W WILLI ZAMORDOWANEGO

W biurze podano Karoniowi kartkę; pani Masia prosiła pilnie o telefon.

Zadzwoił natychmiast. Złapał

się na tym, że z przyjemnością słyszy głos inżynierowej. Informacja była największej wagi.

— Znaleźliśmy w willi sejf męża! — raportowała z przejęciem.

W wielkim salonie panował straszny nieład. Wywieziono już część mebli. Tu i tam stały duże skrzynie.

Pani Masia bowiem, o czym Karoń wiedział już poprzednio, wydzierżawiła willę z całym niemal urządzeniem na letnią rezydencję pewnej ambasadzie.

Pani Masia powitała oficerów na podeście górnego piętra.

— Ach, co za szczęśliwy przypadek! — powiedziała.

Był to istotnie przypadek. Za dużym zwierciadłem w masywnej ramie mahoniowej, osadzonym w murze jako dekoracja sypialni inżyniera, widniał

niewielki sejf. Rama wraz ze zwierciadłem mogła się otwierać jak drzwiczki normalnej szafy po uruchomieniu sekretnej mechanizmu ukrytego w grubości ramy.

Nie, pani Masia nie знаła przedtem tego sekretu. Nigdy dawniej nie oglądała sejfu męża. Inżynier nosił

zawsze przy sobie wiązkę kluczy na stalowym kółku. Po śmierci inżyniera kółko z kluczami znikło bez śladu.

Sejf ujawniono dopiero dziś rano. Jeden z robotników zdejmując niezgrabnie ciężki gzyms od story uderzył jego końcem w zwierciadło. Lustro rozpadło się na drobne kawałki ukazując sejf.

Karoń połączył się zaraz z Komendą MO w Gdańsku. Zamówił specja od otwierania kas na jutrzejsze rano.

Pani Masia, jak się okazało, od dni paru nie nocowała w willi. Tragiczne wydarzenie obrzydziło jej dom tak dawniej lubiany. Przygarnęła ją do czasu znalezienia innego mieszkania jedna z gdańskich przyjaciółek.

Karoń polecił Heniusiowi, aby odbył całonocny dyżur w opustoszałej willi.

—

Czy ktokolwiek, poza robotnikiem, sprawcą rozbicia lustra, wie o znalezieniu sejfu? — zapytał panią Masie.

— Chyba nikt, służącej wtedy nie było w pokoju, a robotnik był tak zmieszany, że mógł nie zauważyć pomalowanego na kolor ściany sejfu.

Zaraz, zaraz... telefonował po coś Gabryś... Nie wytrzymałam i powiedziałam mu o sejfie! Czy znowu zrobiłam coś złego, dla odmiany przez gadulstwo, a nie przez milczenie? — mówiła z rozbrajającą szczerością.

— Nie, proszę pani, może nawet stało się dobrze — pocieszył ją Karoń.

Major wrócił do miasta, a Heniusz pozostał w willi, nie pokazując się na zewnątrz, obficie zaopatrzonej przez panią domu w rozmaite wiktuały.

Karoń postanowił wcześniej niż zwykle położyć się spać. Zасыpiając pomyślał o zaczajonym w ciemno

ściach Heniusiu.

Telefon zadzwonił nad samym uchem. Mówił podniesionym głosem Heniusz.

—

Panie majorze! Mamy klops. W nocy jakiś mężczyzna próbował wejść do sypialni...

— Kto to był? — niecierpliwził się Karoń.

— A właśnie, że nie wiem. Nie udało mi się. Uciekł...

— Rano będę u ciebie — odpowiedział z nutką niezadowolenia major. —

Teraz nic się już nie stanie.

Dlaczego jednak powiedziałeś „mamy”? Klops zachowaj wyłącznie dla siebie!

Kładź się spokojnie spacja też się jeszcze prześpię. Dobranoc!

Henius opowiadał, jak to dobrze po północy usłyszał u wylotu Podleśnej odgłos hamującego samochodu. Po chwili na schodach od ulicy ukazał się cień mężczyzny. Nie kryjąc się wcale, w przekonaniu, że dom jest zupełnie pusty, nocny gość podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je bez trudu —

był to więc klucz właściwy.

Henius słyszał kroki nieznanego w hallu, później —

w salonie. Słyszał głośne wycieranie nosa, po czym nieznanomy zaczął powoli wchodzić na schody. Henius postanowił zacząć się za drzwiami sypialni inżyniera, a gdy facet wejdzie do pokoju — przekonać się, czego tu szuka, skoczyć na niego od tyłu i obezwładnić.

Plan był może dobry, lecz wykonanie zawiodło całkowicie. Przesuwając się ku drzwiom w pełnym mroku Henius zapomniał o stojącym na drodze ciężkim metalowym stoliku w stylu „wschodnim”. Zawadził

o niego nogą tak niefortunnie, że mebel runął na ogołoconą już z dywanu podłogę z niezmiernym hałasem.

W dodatku Henius rymnąłobokjak długi!

Oczywiście nocny gość natychmiast zbiegł ze schodów i miał na tyle sprytu, aby zamknąć swym kluczem drzwi od zewnątrz. Zanim więc Henius zerwał

się, znalazł w hallu, próbował otworzyć drzwi i wreszcie przez wielki salon wybiegi szybko na taras

— usłyszał już tylko szum odjeżdżającego auta.

— Strasznie mi głupio... — powtarzał szczerze zmartwiony porucznik.

Karoń przygadywał mu trochę, lecz wiedział swoje. Zdjęto ślady obuwia z posadzki, odciski palców z klamki i poręczy schodów.

W południe Karoń wrócił na Podleśną. Była pani Masia. Był Henius. I jeszcze dwóch miejscowych pracowników MO w towarzystwie specja od kas pancernych. Był też pracownik notariatu.

Spec pomyślał, popatrzył, postukał, wyjął jakieś skomplikowane narzędzia...

Po upływie pół godziny sejf był otwarty bez uszkodzenia zamka. Wyjmowano z niego znajdujące się tam przedmioty i układano na dużym stole, od razu segregując je i spisując w urzędowym protokole. Karoń niezależnie od tego robił dla siebie notatki, a to i owo po złożeniu pokwitowania odkładał na bok, na potrzeby śledztwa.

Sejf miał trzy półki. Na górnej leżały teczki skoroszytowe z różnymi dokumentami: notatkami technicznymi, planami, świadectwami patentowymi. Karoń nie znalazł wśród nich nic dla siebie interesującego.

Na środkowej półce znaleziono kilkanaście książeczek PKO różnych typów i z bardzo różnymi wkładami. W sumie było tego prawie trzysta tysięcy złotych. Przeliczono też paręset dolarów w banknotach bądź w złocie.

Na samym dole inżynier przechowywał paczkę listów. Karoń przerzucił je pobieżnie. Było to prawdziwe „cmentarzysko uczuć”, jak je nazwał w duchu.

Różne panie o usposobieniach romantycznych przypominały adresatowi spędzone wspólnie słodkie chwile i domagały się niedwuznacznie dalszych jego świadczeń w wiadomej dziedzinie. Pani Masia patrzyła na te listy z niesmakiem, lecz major znalazł tutaj dla siebie coś bardzo interesującego.

Był to list podpisany przez tajemniczą Muzę. Muza groziła! Groziła zemstą kogoś, kto ją nadal kocha, mimo krzywdy sobie wyrządzonej, kto obroni przed zniewagą i poniżeniem..

Listy sąsiadowały z okazałym plikiem weksli i rewersów na niemałe kwoty

— wszystkie były podpisa-ne przez Sylwestra Gabryśia na rzecz Pawła Górskiego. Major przeglądał je z miną człowieka, który wiedział już z góry, co znajdzie w sejfie.

— Czy to już wszystko? — spytał.

— Chyba tak — odpowiedział funkcjonariusz MO. — Przepraszam, coś tu jeszcze jest!

I wyciągnął na światło dzienne maleńką kopertę, obwiązaną dla pewności cienkim sznurkiem. Na papie-rze widniała wypisana piórem data: 2 kwietnia 1981 roku, a w środku spoczywał nieco spłaszczony pocisk dużego kalibru!

Pani Masia oświadczyła stanowczo, że data na kopercie odpowiada ściśle dacie pierwszego zamachu skrytobójczego i że pisała ją ręka Górskiego.

Jak się nieco później okazało, pocisk znaleziony w sejfie oraz łuska z uliczki przed willą „Eskulap” pochodziły z takiej samej, być może nawet tej samej, broni.

Śledztwo ruszyło teraz z kopyta. Ustalono bez trudu, że ową tak agresywną Muzajest po prostu... małżonka Gabryśia, Leokadia. Aktualna — mówili jedni, rozwiedziona — prostowali inni. Ale ostatecznie nie miało to większego znaczenia.

W mieszkaniu Gabryśia przeprowadzono natychmiast rewizję, pod kierunkiem niezastąpionego w takich razach Heniusia.

Połów był obfity: podeszwy letnich trzewików Gabryśia, z tak charakterystycznym „żeberkiem” w części tylnej, odpowiadały śladom z posadzek „Afrodyty”; odciski linii papilarnych były identyczne z odciskami na klamce drzwi willi, wreszcie na kluczach też znalezionych u Gabryśia. Ta wiązka na stalowym kółku należała z pewnością do zamordowanego. Był tam i płaski klucz do sejfu!

„OBYWATELU GABRYŚ — JESTEŚCIE MORDERCĄ!”

Kiedy nazajutrz Sylwester Gabryś zasiadł znowu na krzeselku przed biurkiem Karania — zdawało mu się, że widzi innego człowieka. Zamiast tamtego, ubranego w elegancki garnitur, uprzejmego, nawet wesołego —

spoglądał na niego zimno, niemal odpychająco, major milicji ze wszystkimi dystynkcjami.

Obok siedział przy magnetofonie porucznik Wollman.

— Obywatelu Gabryś — zaczął major głosem o metalicznym dźwięku —

coście robili wczorajszej nocy w willi „Afrodyta”?

Gabryś rozejrzał się wokoło, jakby szukał pomocy z zewnątrz. Później zaczął dukać:

— Ja... nie byłem w willi... ostatni raz na tej zabawie... Od tego czasu... nie widziałem... po co miałem chodzić po nocy...

— Nie czas na kłamstwa! — przerwał te wykrety Karoń. — Oto komplet odcisków waszych palców i stóp, oto klucze znalezione w waszym mieszkaniu. Pytam: czego szukaliście w pustym domu Górskich?

— Powiem prawdę — zdecydował się przycisnięty do muru Gabryś. —

Przyszedłem do willi, bo chciałem zabrać z sypialni Pawła mały obrazek.

Krajobraz

holenderski... Pamiątka po ojcu... Jedyna. Kiedyś Paweł wycygał go ode mnie. Na jakiś czas, powiedział. Nie miałem żadnego pokwitowania ani dowodu.

Masia by nie uwierzyła... Klucze... znalazłem... przy trupie Pawła.

— Obywatel dalej mówi nieprawdę! — powiedział z naciskiem Karoń. —

Obywatel coś nietęgo z pamięcią. Może ja przypomnę pewne nie do zbiccia fakty i okoliczności? Załóżmy, że Paweł Górski ma wroga i że ten wróg, nazwijmy go roboczo panem X, postanawia zabić inżyniera. Zdobywa niezawodną broń palną.

W wojsku pan X miał opinię doskonałego Strzelca. Pan X wie, że w dniu 2 kwietnia 1981 roku inżynier będzie w domu tylko z żoną. Zna świetnie rozkład mieszkania i zwyczaje właścicieli „Afrodyty”. Przy użyciu lunety strzał musi być celny. I był rzeczywiście, tylko że inżynier schylił się niespodziewanie właśnie w momencie jego oddania i ocalał. Na razie. Pocisk rykoszetem utkwiał w ścianie salonu. Oto on. Znalezione ten dowód w sejfie inżyniera.

Zachował go w specjalnej kopercie, z wypisaną własnoręcznie datą. Może jako pośmiertne oskarżenie swego mordercy?

Sylwetka inżyniera w oknie znika z pola widzenia pana X, myśli, że trafił ofiarę, nie ponawia strzału.

Pierwszy zamach się nie udał. Inżynier czuje się zagrożony. Może wie to, czego nikt z nas jeszcze nie wie?

Wykorzystując swe stosunki w stolicy, wyjeżdża w delegacji do Afryki.

Przebywa tam około dwóch lat.

Przez ten czas pan X cierpliwie czeka.

Po powrocie inżynier tajemniczo swych najbliższych w zamiar nowej podróży za granicę. Tym razem na dłużej. Może nawet na zawsze. Pan X

musi się śpieszyć. Wybiera wariant podobny.

Oto jego kolejne czynności. Ukrywa zawczasu nabitą broń długą w przygotowanym schowku, w tym samym murku przed willą doktora. W

willi „Afrodyta” trwa tej nocy huczna, pijacka zabawa. Pan X bierze w niej udział. Pewnie zachęca innych do picia, ale sam musi być trzeźwy. Prosi inżyniera o rozmowę w altanie, na osobności. Pan domu jest mocno podchmielony. Wykryła to później sekcja zwłok. Gdzieś przed samą północą udaje się na umówione miejsce. Teraz rozwija ożywioną działalność pan X.

Wszystko jak w zegarku, ma czas odmierzony do ułamka sekundy.

Niepostrzeżenie dla wszystkich wychodzi przez drzwi frontowe, zbiega po schodkach na ulicę, przecina ją, wchodzi szybko alejką na oznaczone miejsce. Wydobywa ze schowka broń. Widzi w jaskrawym świetle latarni rysującą się czarno sylwetkę ofiary. Odległość nie większa niż siedemdziesiąt metrów, luneta — celność strzału murowana! Pada on w trzy minuty po pół-

nocy, wiemy to od doktora, który jeszcze się nie położył. Pan X wycofuje się spod jego domu, wraca do

„Afrodyty” tą samą drogą. Zużył na wszystko najwyżej dwie minuty.

Oto pocisk z pierwszego zamachu. Oto łuska naboju z drugiego. Eksperci orzekli identyczność broni.

Ale rola pana X nie skończyła się jeszcze.- Wmieszany w gromadę szukających inżyniera wyjmując z jego kieszeni, przy rzekomej próbie okazania pomocy, wiązkę kluczy na stalowym kółku.

W tym miejscu Gabryś chciał przerwać, ale major powstrzymał go stanowczym ruchem ręki.

— Czas już — mówił dalej z rosnącym przejęciem — aby ustalić motywy tej ohydnej zbrodni. W

sejfie znaleziono plik weksli i rewersów. Oto one.

Wystawca był całkowicie w rękach inżyniera. Lecz był i drugi motyw. W tym samym sejfie znaleziono list żony pana X — proszę. Była kochanką Górskiego, romansował z nią na oczach wszystkich.

Pieniądze i kobieta. Każdy z tych motywów mógłby sam wystarczyć!

Dzięki niedyskrecji pani Górskiej pan X wie o ujawnieniu ukrytego sejfu.

Wie, że dom będzie w nocy pusty. Ma w ręku wszystkie niezbędne klucze.

Pokusa jest zbyt silna — udaje się do willi. Niezręczność wartownika (tu major spojrzął mimo woli na Heniusia) umożliwia mu ucieczkę. Ale my i tak wiemy, czego szukał w sejfie panX...

Mężczyźni znów skrzyżowali spojrzenia. Obu wydawało się, że w obszernym pokoju jest bardzo dusz-no.

— Zabawa skończona, obywatelu Gabryś! Wiecie równie dobrze jak ja, kim jest ów umownie wprowadzony do mojej relacji pan X. Obywatelu Gabryś!

Jesteście podejrzani o usiłowanie zabójstwa w dniu 2

kwietnia 1901 i o mord skrytobójczy na osobie Pawła Górskiego w altanie willi „Afrodyta” w Gdańsku w dniu 14 maja 1963 roku. A oprócz tego o usiłowanie włamania do sejfu w tejże willi w celu skradzenia kompromitujących was dokumentów. Oto postanowienie prokuratora o areszcie tymczasowym.

Gabryś, który coraz niżej opuszczał głowę, zerwał się teraz na równe nogi.

Był czerwony, oddychał

ciężko. Krzyczał w podnieceniu:

— Będę się bronił!!! Nie dam się wrobić w mokrą robotę! Ja wszystko powiem! Jestem niewinny!!!

— Proszę, bardzo proszę, obywatelu Gabryś — replikował zimno major. —

Wysłuchamy was z największą uwagą. Może jednak usiądziecie.

— Dobrze! — Gabryś nieco się opanował. — Pan mówi — pieniądze i kobieta. Paweł miał w sejfie moje weksle? Miał, ale cóż z tego? Gromadził je razem z rewersami — dla porządku. Czego się miałem bać?

Komornika? Wolne żarty! Paweł i wszyscy wiedzieli, że nic nie mam, rzeczy w domu warte może ze trzy

patyki... To żaden powód do zabicia najbliższego przyjaciela. Po drugie: od dawna nie żyję z żoną.

Może i była kochanką Pawła — mato to miał

kochanek? Bywały i inne mężatki. Gdyby każdy zdradzany mąż chciał

strzelać do uwodziciela, to Paweł byłby dawno dziurawy jak rzeszoto. W

naszej paczce takie zmiany żon się zdarzały. Tylko Masia...

— Proszę panią Ma... Górską zostawić w spokoju!

— uciął Karoń tak ostro, że Gabryś spojrzął na niego z niejakim zdziwieniem.

— Dobrze! Teraz o tamtej nocy. Kto mnie, u diabła, widział wychodzącego czy wracającego? Te pija-ki? Widział — nie widział, jak w zabawie przedszkolaków. Gdzie jest kula, która zabiła Pawła?

Gdzie jest broń, z której podobno strzelałem? Same zagadki! Pan mówi: Gabryś świetny strzelec.

Kiedyś może i nieźle strzelałem, ale teraz... Pan widzi, jak mi się ręce trzęsą, a i wzrok nietęgi.

— Hm, a tamten strzał, przed dwoma laty?

— Mowa-trawa-święto lasu!!! Mam odpowiadać za wszystkie kule wystrzelone w ostatnich latach na terenie Trójmiasta? Ktoś tu jest wariat, panie majorze!

Karoń obserwował ze zdumieniem, jak stopniowo, pod wpływem rosnącego gniewu, język

bywającego w „lepszym towarzystwie” inżyniera Gabryśa przechodzi w gwargę warszawskich rysztołów.

— Gdybym chciał rzeczywiście zabić Pawła — mówił dalej Gabryś podniesionym głosem — to miałbym dziesiątki lepszych i bezpieczniejszych okazji, bez tych waszych picowatych westernów z kowbojami!

— Ostrożnie ze stawami, panie Gabryś! — rozgniewał się wreszcie Karoń.

— W każdym razie jedno jest nie do obalenia: pańska nocna wizyta w „Afrodyce”.

— Z tym wpadłem, przyznaję. Chciałem zabrać z sejfu trochę monety.

Paweł obiecał mi dać na kupno wozu, cała nasza ferajna o tym wiedziała.

— Masz Cyganie świadki... — replikował złośliwie Karoń. — Były tam jeszcze książeczki PKO...

— Wszystko to było przecie nic do zrealizowania! — rzekł Gabryś. — Niech pan raz wreszcie zrozumie: po cholere miałem go zabijać. Wyciągałem od niego więcej forsiaków, póki był żywy! Tylko wariat obcina gałąź, na której siedzi. Tylko wariat...

— Pozostaje zabranie kluczy, okradzenie... nieboszczyka — prowokował celowo major. — Tak wygląda wdzięczność pasożyta?

— Wypraszam sobie obelgi!!! — wrzasnął rozwścieczony Gabryś. —

Popełniłem piramidalne głup-stwo, to prawda, ale gdyby z każdego głupstwa wyrastała zbrodnia, to by ludzi w ogóle na świecie nie było!

Stąd do morderstwa droga bardzo daleka! Chlałem dzień i noc ze zmartwienia po Pawle i do willi poszedłem na bańce. Nie dam się wplątać, nie dam się sprowokować, nie dam, nie dam, nie dam!!!

Osobnik przed biurkiem nacierał teraz ostro. Karoń poczuł nagle dziwne znużenie. Mógł być zmęczony śledztwem — to pewne. Lecz w tej chwili miał

również świadomość, że poszlaki... lak, poszlaki, a nie dowody, przeciwko Gabryśowi opierają się na podstawach raczej chwiejnych, że żaden geniusz prokuratury nie potrafiłby z nich sporządzić, poza bezspornym usiłowaniem włamania i kradzieży, sensownego i prze-konywającego aktu oskarżenia.

— Pan jest kuty na cztery nogi — powiedział na pożegnanie, aby tylko coś powiedzieć.

I kazał odstawić Gabryśa do aresztu prewencyjnego.

OSTATNIE POLOWANIE PIOTRA GÓRSKIEGO

Pozostawało jeszcze mnóstwo spraw do wyjaśnienia. Kogo obawiał się tak bardzo inżynier Górski?

Kim był dla niego zmarły o dwa lata wcześniej w Warszawie inny jakiś Górski?

Pozostawiwszy miejscowemu wydziałowi służby kryminalnej dalsze kłopoty z Gabryśiom, Karoń i Heniusz wyjechali nocnym pociągiem do Warszawy. Po prawie nie przespanej nocy w haniebnie trzęsącym wagonie sypialnym major pojechał wprost do swego kawalerskiego mieszkania, aby wziąć prysznic i nieco wypocząć, niezmordowany zaś Heniusz postanowił działać dalej.

Już po dwóch godzinach meldował swemu zwierzchnikowi, że Piotr Górski był dyrektorem przedsię-biorstwa „Pol-Prac”, że był też młodszym bratem Pawła urodzonym z tych samych rodziców i w tym samym miasteczku Cudnów.

Z wyrazu oczu Heniusia major poznał od razu, że bomba jest chowana -na sam koniec. Tak było — Piotr Górski zmarł tragicznie wskutek wypadku na polowaniu!

—
Wypadek na polowaniu? — powtórzył w zamyśleniu Karoń. — Coś mi tu za dużo pukaniny wokół braci Górskich.

Heniusz wyjechał zaraz do Cudnowa, Karoń zaś „poszedł za ciosem”, jak mawiają bokserzy. Przez cały boży dzień odwiedzał rozmaite urzędy i biura, z

„Pol-Pracem” na czele, rozmawiał kolejno z mnóstwem ludzi. Sylwetka Piotra Górskiego rysowała się coraz wyraźniej. Był młodszy od Pawła o dwa lata. Raczej odludek. miał aż dwie namiętności: polowanie i kolekcjonowanie obrazów szkoły polskiej XIX wieku.

Wszystko, co posiadał, a uważano go za człowieka zamożnego, zapisał w testamencie na celo społeczne.

Najcenniejszą część legatu, owe obrazy, otrzymało warszawskie Muzeum Narodowe. Zgromadzenie takiej kolekcji wymagało środków poważnych, nawet przy założeniu, że w pierwszych latach powojennych trafiały się upartym, a znającym się na rzeczy, zbieraczom dzieł sztuki bajeczne wprost okazje.

O wypadku na polowaniu w Bieszczadach w dniu 11 lutego 1961 roku pamiętano nadal. Prezes Koła Łowieckiego „Róg Wojskiego” długo i nad wyraz nudnie opowiadał o nim majorowi, nu szczęście przy butelce dobrego koniaku z czarną kawą. Karoń zainteresował się, ilu było tego dnia myśliwych.

— Dziesięciu — usłyszał w odpowiedzi. — Tak zanotowano w raporcie z polowania. Siedem strzelb od nas i trzy miejscowe. Dyrektora znaleziono na jego stanowisku myśliwskim. Zabłąkana kula trafiła go w samą głowę. Zmarł

na miejscu. Milicja przeprowadziła śledztwo, nie zdołano jednak ustalić, z czyjej broni padł ten fatalny zaiste strzał. Nie ogłoszono w ogóle o wypadku w prasie. Po co było dawać żer plotkom?

Major podziękował za informacje i wy-dostał ze zbiorów działu broni pocisk, wyjęty z czaszki Piotra Górskiego. Wysłał go zaraz do gdańskiego laboratorium kryminalistycznego, a później posłał Heniusiowi przez milicję polecenie, aby porucznik wprost z Cudnowa pojechał do tamtego leśnictwa i zorientował się na miejscu, co i jak.

Heniusz wrócił cały i zdrowy dopiero na trzeci dzień. Major zaprosił swego młodego przyjaciela na obiad do restauracji, mającej dobrą opinię wśród smakoszków.

Atakując odważnie na talerzu twarda-wy, jak się okazało, kotlet i usiłując go zmiękczyć łykami ciepłego piwa — Heniusz zaczął od Bieszczad. Niczego z tej Sośniny sensacyjnego nic przywiózł. Wizji lokalnej, oczywiście, nie przeprowadzał: po cóż miałby się włóczyć po wertepach w innej porze roku i po dwóch latach od wypadku!

— Ile strzelb brało udział w tym polowaniu? — spytał Karoń.

— Dziesięć! Osiem warszawskich i dwie miejscowe.

— Nie mylisz się aby, Heniusz? — zdziwił się Karoń.

Heniusz stanowczo potwierdził podaną informację. Skąd taka rozbieżność w liczbie uczestników dwóch grup myśliwskich? Karoń odłożył tę wątpliwość na później.

Tymczasem Heniusz, mający znakomitą pamięć i niemałe zdolności aktorskie, dał Kuroniowi prawdziwy spektakl. W owym Cudnowie, przyłączonym w okresie okupacji do Rzeszy, nie zachowały się żadne akta ewidencji ludności; zniszczono także księgi parafialne. Szczęśliwym jednak trafem Heniusz odszukał starego majstra rymarskiego, zresztą niegdyś warszawskiego rodaka, zaprosił go na bombkę piwa (bombki te roz-mnożyły się) — i teraz grał z werwą dziadka Saburskiego.

— Panie szanowny — marniał stary — pamiętam, dobrze famułę Górskich.

Fatowski był kolejarz.

Czerwonej czapki nie nosił, ale coś tam dłużał na banhofie. Mieli, panie, domekjak chatka Baby Jagi i trochę gratów. Było ich. chudziaków, to znaczy dzieciaków, troje. Nie, nie dwoje, ale troje. Niełatwo to było wyżywić z kolejarskiej pensji, za te osiemdziesiąt

złotych miesięcznic. Matka się kręciła jak fryga. Bryndza tam była, panie, że strach... Najstarszemu było Paweł, młodszemu Piotr, tego znalazem, panie, dobrze, bo ko-legował z moim Wojtkiem, tym, który później zginął w partyzantce. Była jeszcze siostra, młodsza od braci, nawet elegancka, w tej biedzie, dziewczyna. Imienia nie pamiętam, tyle lat, panie. Bida aż piszczała, ale dzieci do szkoły posyłali. Kto jaką skończył, panie, nie pamiętam. Może lo było przed wojną, a może i po wojnie... Stary Górski umarł pierwszy.

Pamiętam, bo sąsiedzi składali się na pogrzeb. Później stara znowu wyszła za mąż, za stolarza, panie. Człek był porządny, nic powiem, pracował, trochę im się nawet poprawiło. Ale nie bardzo, bo ten stolarz lubił „czystą- ojczystą” i prawie cały dzień chodził pod ankohelem. panie. Z

tym drugim chłopem miała jeszcze jednego syna, wołali go Janusz, nazwisko takie jakieś dziwne, niemieckie... Kugler czy Keler. Po wojnie wrócili do Cudnowa. Matka zmarła jeszcze w czasie tułaczki. Sprzedali domek po rodzicach, ale co to było warte! Siostra, panie, wyszła podobno za mąż, do Rumunii

czy gdzieś.

Później ludzie mówili, że ktoś widział Pietrka w Warszawie, że doszedł tam, panie, do stanowiska, ale czy prawda? Mato co ludzie mówią... Pawełek i ten najmłodszy — jak kamień w wodę. Strasznie się ludziska po wojnie przemieszali. Nie wiadomo, kto i gdzie, panie...

Staruszek z początku trochę mrukliwy, rozruszał się pod koniec i nawet na po żegnanie zaśpiewał mi dawną piosenkę staromiejską: Na Dunaju, na Gołębiej,

Pijak rymarz babę gnębił

Odknaj, brachu, niech cię frybra!

Rwą się włosy, trzeszczą żybra!

— Nie bujaj, Heniuś! — śmiał się rozbawiony Karoń

— nie uwierzę przecie, żeś i to zapamiętał!

— Panie majorze! — odrzekł służbiście Heniuś — jednak zapamiętałem, tylko w innych czasach: śpiewał mi ją mój dziadek — urodził się również na Pivnej.

I rad z efektu Heniuś finiszował w zmaganiach z nie poddającym się tępemu nożowi, wystygłym już całkowicie kotлетem, występującym w karcie pod obiecującym pseudonimem „sznyceł po wiedeńsku”.

Karoń wrócił do domu dość późno. Przez cały czas, nawet podczas Heniusio-wego skeczu, dręczyła go myśl: Jak to było z dziesięcioma myśliwymi?

Prawdziwa zagadka w stylu babci Agaty Christie!

W nocy miał, co zdarzało się rzadko, dziwaczny sen: stawał przed nim ksiądz w sutannie, coś mówił, pokazywał, kogoś gonił po ulicy...

Skąd ksiądz do niego? Jaki ksiądz? I nagle... Bardzo już dawno, jeszcze w czasach szkolnych, Karoń czytał opowiadania Chestertona z cyklu przygód detektywistycznych księdza Browna. Kiedyś ojciec Brown wykrył

zbrodniarza posługując się jedynie... słuchem! Słyszał mianowicie, piętro wyżej, kroki jakiegoś człowieka. Kroki zmieniające tempo, na przemian szybkie i powolne. Zależnie od tego, czy człowiek ten wchodził do kuchni restauracyjnej, czy wracał do sali bankietowej. Detektyw w sutannie odgadł, że zakamuflowany przestępca odgrywa w ten sposób rolę podwójną: wobec gości jest kelnerem, wobec kelnerów —

gościem. I w ten sposób znikną, jest dla obu grup jakby niewidzialny!

W przypadku bieszczadzkiego polowania ktoś musiał zastosować, zapewne nie znając opowiadania angielskiego pisarza, ten sam pomysł.

Wmieszawszy się między myśliwych, odegrał swą trudną rolę wprost genialnie! Dla warszawiaków był myśliwym miejscowym, dla miejscowych — przyjezdnym ze stolicy...

Zastrzelił dyrektora Górskiego na jego myśliwskim stanowisku, niespostrzeżenie się wycofał i odjechał, zapewne pozostawionym w pobliżu autem.

Ale skoro drugi Górski został również zastrzelony, być może z tej samej broni, to Gabryś — o ile ma alibi

— musi być niewinny. Chodzi tylko o drobiazg... Jak teraz, po upływie dwóch lat, ustalić jego alibi?

SZCZENIAK STRZELA DO CELU

Po powrocie nad morze czekała detektywów w mundurach miła niespodzianka. Miejscowi koledzy po-informowali z przejęciem, że trafiono na ślad broni,

z której — być może — zamordowano Pawła Górskiego. Zameldował o niej pewien gajowy...

— Dawać go tu zaraz! — rozkazał major Karoń.

Gajowy składnie opowiedział, jak to w czasie codziennego obchodu swego rewiru usłyszał przygłuszo-ne strzały. Zorientował się od razu, że ktoś strzela z karabinu w głębi sporej kotliny, pozostałości po kopalni żwiru jeszcze z czasów niemieckich.

Skradając się możliwie cicho, gajowy wdrapał się na sam skraj kotliny i spojrzał ostrożnie w dół. Ujrzał

tam, jak powiedział, „szczeniaka” zabawiającego się w najlepsze strzelaniem do celu, którym były ustawione na kamieniach butelki.

— Czy „szczeniak” strzelał celnie? — przerwał Karoń.

— Gdzie tam, przy mnie kropnął coś ze cztery razy i ani razu nie trafił! A odległość była nic większa niż dwadzieścia metrów.

— Co się później stało?

— Ano poczekałem, aż przestał strzelać, i po

kryjomu poszedłem za nim. Doprowadził mnie do domu, co stoi na Podleśnej, na prawo od wyjścia z lasu... Uważałem, że to może być ważne i dlatego dałem znać do milicji...

—

Bardzo dobrze zrobiliście, serdecznie wam dziękuję. Wracajcie do siebie

— rzeki Karoń, a Heniusiowi rzucił — walimy do willi doktora!

Stary eskulap był -mocno zaskoczony nową wizytą oficerów milicji. Strzelba?

Jaka strzelba? Nikt jej nigdy tutaj nie widział! Młody chłopiec, owszem, był

tu przez parę dni siedemnastolatek z gdyńskiego tech-nikum mechanicznego

— siostrzeniec gosposi doktora. Teraz jest pewnie w szkole...

Po godzinie Karoń miał przed sobą „szczeniaka”. Z początku stawiał się i był nawet pyskaty, ale zmiękł

od razu, gdy spytano go ostro o strzelbę. Wyjaśnił, że zna laź ją w drewni przy willi doktora.

Była wsunięta, bez futerału, między kłody drzewa, przeznaczonego na opał. Umył kolbę i magazynek spirytusem (a więc ślady diabli wzięli! — pomyślał, nawet bez złości, major), zdobył kilkanaście naboju i strzelał sobie do celuwlesie nie mówiąc nic nikomu.

— Pokaż tę broń! — polecił Karoń. Leżała w tym samym miejscu, okryta już jednak kawałkiem brezentu. Co było robić ze „szczeniakiem”? Karoń nakrzyczał trochę, postraszył i odesłał do Gdyni.

Ustalono, że był to zupełnie nowy pięciostrzałowy sztucer-repetier znanej marki Mannlicher-Schoenauer (zakupiony, jak się później okazało, za sfałszowanymi dowodami w Warszawie, w początkach 1961 roku). Kaliber 7X64 milimetry odpowiadał posiadanym dwóm pociskom i jednej łusce od naboju.

Morderca użył, przy dwóch strzałach na pewno, a przy trzecim —

prawdopodobnie, naboju ze spłaszczonym czubkiem pocisku, a więc nie typu myśliwskiego, który to ma pocisk półspłaszczowy, miękki, nie dający rykoszetów.

Fakt użycia nietypowej dla myśliwych amunicji winien był od razu zaalarmować milicjantów, prowadzących dochodzenie po „wypadku” w Bieszczadach. Lecz nie zaalarmował...

Dobry strzelec mógł trafić ze sztucera z odległości stu — stu pięćdziesięciu metrów nawet bez użycia lunety; ale byta i luneta.

Z tej broni zamordowano obu braci Górskich: Piotra na polowaniu w Bieszczadach, Pawła w dwa lata później — w pobliżu własnej willi na peryferiach Gdańska.

NOWE ZADANIA

Major Karoń, jak wiemy, nie lubił wszelkich narad. Lecz tę dzisiejszą, odbywającą się w Biurze Kryminalnym KGMO w Warszawie, musiał uznać za szczególnie ważną dla sprawy Górskich i nawet dla siebie.

Przewodniczył oczywiście pułkownik Molarczyk. Był Jacek Zaremba, byli bodaj wszyscy odpowiedzialni pracownicy biura. Na wstępie Karoń bardzo obszernie i wyczerpująco zreferował przebieg obu zabójstw, komentując je na tle otoczenia obu braci oraz ich biografii i charakterów.

Zwrócił z naciskiem uwagę na fakt nagłego wzbogacenia się Górskich po roku 1948, podkreślił tajemnicze zniknięcie ich przyrodniego, najmłodszego brata.

— Jest jeszcze rodzona siostra Górskich — mówił dalej Karoń. — Ustalenie miejsca jej pobytu nic będzie trudne, a mnie wydaje się niezbędne. Zakładam bowiem, że z jej osobą jest związana jedyna szansa zdemaskowania i pochwylenia podwójnego mordercy! Spodziewam się, że trzecią z kolei ofiarą ma być właśnie ona!

— Obywatelu majorze — wtrącił Zaremba — przecież morderca porzucił, nieprzymuszony, swą broń w drewni doktora Słomskiego!

— To świadczy na korzyść mojej tezy — odparował Karoń. — Oczywiście, że na zagranicę broń długa jest .mu nieprzydatna. Trudno ją ukryć, za duże ryzyko. Z drugiej strony była to sposobność rzucenia podejrzenia na doktora.

Słomski był jednak poza podejrzeniami, podobnie jak inne osoby z kręgu znajomych inżyniera oraz wdowa. Najwięcej zastrzeżeń mieliśmy wobec Sylwestra Gabrysia, lecz ma żelazne alibi — pobyt w szpitalu — nie mógł więc zabić Piotra w Bieszczadach. Ten ciemny typ wyszedł z wody prawie

suchy. Na razie pozostaje w areszcie, ponieważ na pewno włamał się do willi.

Uzasadnienie aresztu raczej słabe, ale jest dla nas konieczne, aby przynajmniej do czasu zmylić prawdziwego mordercę, zyskać na czasie przygotowując kontruderzenie! Reasumuję i proponuję: należy zasadzić się na mordercę w mieszkaniu Górskiej; oczywiście wcześniej musimy ustalić jej adres. Aktualnie przebywa w którymś z krajów demokracji ludowej.

I mam jeszcze jedną prośbę: tyle wysiłku włożyłem w to śledztwo, proszę więc, w razie wyrażenia zgody na moją propozycję, o oddelegowanie mnie z grupą operacyjną dla ochrony Górskiej i pochwylenia zabójcy jej obu braci.

Dziękuję!

Karoń usiadł. Rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Odezwały się głosy za i przeciw. Major oczekiwał —

już znowu opanowany — werdyktu swych zwierzchników.

Jeszcze przed decydującą naradą w Warszawie Karoń zakończył swą działalność w Gdańsku. Pożegnał

sie serdecznie z tamtejszymi kolegami, którzy tak bardzo mu pomogli. Raz jeszcze pojechał na Podleśną.

Wszedł do ogrodu wciąż jeszcze pustej willi „Afrodyta”. Posiedział, rozmyślając, może trochę marząc, w pamiętnej altanie...

Odwiedził leż sklep pani Masi. Przy czarnej kawie rozmawiali o poznanych tutaj przez majora ludziach.

Waldemar Zmorski wyjechał z zespołem na wielomiesięczne tournée zagraniczne. Pisywał do Masi, ale bardzo rzadko i wyłącznie na barwnych widokówkach.

Pani Masia zdołała jakoś uporządkować zawikłane sprawy majątkowe po śmierci męża. Ożywienie zagranicznego ruchu turystycznego na Wybrzeżu zwiększyło znacznie obroty jej sklepu. Mówiła o przyszłości pogodnie, z optymizmem. Od wielu lat czuła się po raz pierwszy wolna. Dramat na ulicy Podleśnej wydawał

się jej teraz zanikającą w mgiełce oddalenia zmorą.

Na pożegnanie zatrzymała w dłoni Karania swą małą rękę.

— Będzie pan zawsze chętnie widzianym u mnie... gościem.

Mogło to oznaczać wiele lub nic."

I na tym się pożegnali.

CZEŚĆ TRZECIA

NOC W POCIĄGU

Już nazajutrz pułkownik Molarczyk zawiadomił Karania, że przyjmuje jego koncepcję dalszego śledztwa i uważa wyjazd majora do Budapesztu nie tylko za niezbędny, ale i pilny. Sprawę doboru uczestników tej wyprawy szef pozostawił Karo-niowi, zaznaczając jednocześnie, że trzy osoby powinny lulaj wystarczyć.

Major w ciągu dwóch dni poupychał najważniejsze sprawy urzędowe i późnym wieczorem, w dniu 27

czerwca, znalazł się wraz z nieodstępnym Heniusiem i jeszcze jednym porucznikiem — Zenonem Bieleckim

— w pociągu, mknącym w stronę stolicy Węgier; tam bowiem, jak się okazało, mieszkała obecnie Halina Górską-Kmetty.

Porucznik Bielecki, który całą poprzednią noc również tłukł się w wagonie, a w ciągu dnia nie miał ani chwili wytchnienia — zasnął od razu snem kamiennym. Karoń, zajmujący w przedziale dolne poślanie, przeglądał swoje notatki, obserwowany z zaciekawieniem przez Heniusia, który po raz pierwszy brał udział

w lak intrygującej misji.

— Słuchaj, Janek! — odezwał się z wahaniem Henius — czy mogę cię o coś zapytać?

— Wal, braciszku, ja już właśnie kończę — odparł major.

— Co właściwie wiemy o tej Halinie, poza tym, że jest siostrą Górskich?

— Prawie nic. Jest o kilka lat młodsza od braci. Do czasu zamążpójścia pracowała w „Orbisie" na dość podrzędnym stanowisku. W połowie 1949

roku w bliżej nieustalonych okolicznościach poznała jakiegoś Węgra z Budapesztu i wkrótce — jako jego żona — wyjechała na zawsze z kraju. Z

tęgo, co zdążyłem się dowiedzieć, wiem, że nie utrzymywała żadnego kontaktu z obu braćmi. Jest zastanawiające, że nie przyjechała nawet na pogrzeb żadnego z nich. Czyżby nie została zawiadomiona, że zginęli śmiercią gwałtowną?

To jest mało prawdopodobne. A przecież prócz nich nie miała żadnych krewnych...

—
Jak to, czy zapomniałeś o tym trzecim, przyrodnim?

— Masz rację... i kto wie, czy on właśnie nie odgrywa tutaj dominującej roli.

— Do czego zmierzasz?

— Ten człowiek w późnych latach czterdziestych rozpląnął się jak we mgle.

Jego nazwisko — Janusz Keller — nie figuruje ani wśród zaginionych, ani wśród zmarłych, ani

wśród uciekinierów za granicę, ani wreszcie w rejestrze skazanych. W tej sytuacji każda wersja co do jego* osoby może być do przyjęcia...

— Nawet najdalej idąca? — ze zdumieniem zapytał Heniuś.

— Tak — nawet myśl o podwójnym mordercy.

— Więc nie wyklucasz, Janku, że to jego możemy spotkać w Budapeszcie?

— Nie wykluczam... Ale możebyśmy trochę pospali, Bielecki chrapie już dobrą godzinę!

Koledzy węgierscy byli już z grubsza poinformowani o celu wizyty grupy Karonia. Jak się okazało, pani Halina mieszkała wraz z mężem, Janosem Kmetty, we własnym domku na peryferiach Budy, przy Tarcali utea.

Nazajutrz Karoń już we wczesnych godzinach przedpołudniowych zapukał

do jej mieszkania. Drzwi otworzył mąż Haliny, starszy pan w nienagannie skrojonym ubraniu. Ze swobodą człowieka obznajmionego z formami towarzyskimi zaprosił gościa z Polski do niewielkiego, lecz gustownie urządzonego pokoju. Już na wstępie rozmowy Karoń stwierdził z zadowoleniem, że pan Kmetty włada całkiem dobrze językiem „bra-tanki”

znad Wisły.

Po paru banalnych uwagach na temat pogody i uroków Budapesztu sympatyczny gospodarz spojrzął pytająco na Karonia, który zrozumiał, że czas już ujawnić cel nie zapowiedzianych odwiedzin. Kmetty nie orientował

się zupełnie w tym okresie życia swojej

żony, który spędziła w ojczyźnie. zaproponował, żeby Karoń porozmawiał z nią osobiście.

Poprosił przy tym majora, aby ze względu na przedłużającą się niedyspozycję żony rozmowa ta — możliwie krótka — pozbawiona była momentów drażliwych.

Siostra braci Górskich była i dziś jeszcze kobietą piękną. Bystry wzrok majora, zanotował jednak, że nie jest to osoba ciesząca się dobrym zdrowiem.

— Od wielu lat nie utrzymuję kontaktu z krajem — powiedziała na wstępie pani Halina — czemu więc zawdzięczam wizytę tak niecodziennych gości?

Karoń opowiedział zwięźle przebieg dotychczasowego śledztwa w sprawie tajemniczej śmierci obu braci Haliny. Obserwował przy tym uważnie jej reakcję. Odniósł wrażenie, że zaskoczenie tymi informacjami nie było szczere. Musiała niewątpliwie wiedzieć już wcześniej o tak tragicznych dla rodziny Górskich wy-padkach. Świadczyło to o wyjątkowym panowaniu nad sobą, ale nic tylko...

Brak czysto ludzkich odruchów w zachowaniu się pani Haliny zdawał się wskazywać, jak sądził Karoń, na istnienie we wzajemnych stosunkach trojga Górskich jakiejś intrygującej zagadki.

Już na tej podstawie Karoń doszedł do wniosku, że nadzieje, jakie łączył z osobą Haliny, zdają się być w tej chwili bardzo dalekie od urzeczywistnienia.

Z tym samym spokojem pani Halina spytała: — Dlaczego moją osobę włączyliście do tej koszarnej sprawy i czego pan ode mnie oczekuje?

— Muszę być z panią najzupełniej szczery. Zagraża pani śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Mnie, niebezpieczeństwo?

— Spójrzmy prawdzie w oczy! Obaj bracia pani zginęli z ręki tego samego, dotąd nie zidentyfikowanego mordercy. Jest ktoś, kto z nieubłaganą konsekwencją, z niejasnych dla nas jeszcze motywów, usuwa po kolei członków rodziny Górskich. Z tego, co wiemy, pani jest już ostatnia na tej liście. Nasz plan ocalenia pani jest zarazem jedyną szansą zdemaskowania i ujęcia szczególnie perfidnego przestępcy. Planujemy —

jeżeli pani pozwoli — stałą ochronę jej osoby, z zachowaniem warunków absolutnej dyskrecji...

Zapanowało długie milczenie.

— A więc zgoda? — podjął Karoń. — Szczegóły omówimy później. Ale pozostaje sprawa zasadnicza.

—

Co jeszcze? — zapytała z odcieniem zniecierpliwienia pani Halina.

—

Rzecz w tym, że zjawienie się tutaj owego upartego prześladowcy wcale nic jest pewne. Musimy uwzględnić inną alternatywę. A skoro tak, to pani jedynie może się domyślać, jakie są powody nienawiści do was i kto ją żywi.

Każda pani informacja może mieć kolosalne znaczenie. Również dla pani samej. Czy pani wie, że morderca, po nieudanym pierwszym zamachu na życie brata pani Pawła, czekał cierpliwie aż dwa lata, aby porazić go śmiertelnie wkrótce po jego powrocie z Afryki? Nasza obecność w Budapeszcie jest z konieczności ograniczona w czasie.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę wam w tym pomóc.

—

Dlaczego?

—

Po prostu wiem zbyt mało o życiu moich braci.

— Których? Czy ma pani również na myśli tego przyrodniego. Janusza Kellera?

— O nim właśnie wiem najmniej. Straciłam go z oczu w połowie 1948 roku.

Nie wiem nawet, czy żyje.

— A czy bardzo by się pani zdziwiła, gdybym powiedział, że nasze podejrzenia ogniskują się właśnie wokół jego osoby?

— To nonsens! Nic miałby żadnego powodu! Był z nas najmłodszy. Wszyscy bar-dzośmygo lubili.

— Cofnijmy się zatem do czasów, gdy byliście jeszcze razem. Czy nie istniały wówczas sprawy, czy nie zaszły wydarzenia, czy nie spotkaliście ludzi, którym później mogło zależeć na tak okrutnej zemście?

— Niestety, nic takiego sobie nie przypominam. Wiem jedynie, że podczas okupacji i w latach bezpośrednio po wojnie żyło nam się trudno...

Karoń, który wiedział przecież tak wiele o sytuacji materialnej braci Górskich, raz jeszcze miał okazję stwierdzić, że pani Halina po prostu kłamie. Pogłębiające się przekonanie o jeszcze jednym niepowodzeniu obudziło w majorze uczucia gniewu i

zniecierpliwienia. A że już przed chwilą pan Kmetty przez uchylone drzwi zajrzał znacząco do pokoju, major pożegnał się i wyszedł, ustaliwszy uprzednio harmonogram stałych dyżurów grupy warszawskiej w mieszkaniu państwa Kmetty.

MANEKIN

We wspomnieniach Karania miesięczny pobyt w Budapeszcie nie zaznaczył się niczym szczególnym. Z

początkowych projektów zaznajomienia się z pięknem miasta w praktyce niewiele wyszło. Jeden spacer na Górę Gellerta i podziwianie stamtąd bajecznej panoramy miasta, dwie — trzy wyprawy do muzeów, parę kąpieli w otwartych basenach — to byłoby wszystko. Czas na te atrakcje major wykroił z godzin przedpołudniowych. Po obiedzie i wieczorami był

całkowicie zaabsorbowany sprawą pani Haliny.

Niestety, sprawa nie posuwała się naprzód, a czas płynął nieubłaganie i coraz częściej Warszawa dopytywała się o rezultaty akcji. Wreszcie, pod koniec lipca, pułkownik Molarczyk kategorycznie już zażądał

powrotu Karania i jego ludzi. Wszelkie argumenty maiora nie wpłynęły na zmianę jego decyzji.

Karoń opuszczał Budapeszt z ciężkim sercem. Przykro mu było, że sprawa, w którą włożył tyle pracy, wymyka mu się z rąk. i to — jak się zdaje — w momencie decydującym. Nie mógł pogodzić się z myślą, że perfidny zbrodniarz zostanie schwytany nie przez niego, że ten upragniony dla każdego oficera służby śledczej kąsek stanie się zapewne zdobyczą kolegów węgierskich. Z inicjatywy pułkownika Molarczyka ustalo-no bowiem, że

„kocioł” w mieszkaniu państwa Kmettych będzie utrzymywany nadal, ale już bez udziału majora i jego współpracowników. Zastąpili ich milicjanci budapeszteńscy.

Przysłowiowy łut szczęścia, znaczący tak wiele nie tylko w życiu jednostki, ale i we wszystkich ludzkich przedsięwzięciach, sprawił, że pułkownik Molarczyk któregoś dnia, pod koniec sierpnia, mógł zawoiać

— trzymając przy uchu słuchawkę telefoniczną z Budapesztem na linii —

„Mamy go!!!”. Obecni w gabinecie szefa Karoń, Zaremba i paru innych oficerów odruchowo podbiegli do biurka. — Kiedy, kto, jak? —

posypały się niecierpliwe pytania.

Nazajutrz Zaremba i Karoń stanęli na płycie lotniska w Budapeszcie. Tuż w drodze do miejscowej centrali milicyjnej zarysował się ogólny obraz ostatnich wydarzeń.

— Pozwoliliśmy sobie wprowadzić małą modyfikację do waszego planu —

powiedział z zadowoleniem kapitan Laszlo ze służby kryminalnej. —

Wykorzystaliśmy okoliczność — mówił dalej — że pani Kmetty z uwagi na pogarszający się stan jej zdrowia nie wychodzi ostatnio z domu, o czym wszyscy wokoło wiedzieli i co nie mogło ujść uwadze człowieka, szczególnie zainteresowanego jej osobą. Mógł ją widzieć jedynie w godzinach wieczornych, kiedy chora na pewien czas schodziła do pokoju jadalnego, położonego, jak pamiętacie, na parterze i od strony ogródka. Tylko wtedy ktoś stojący w ogródku mógł przez niezbyt przezroczystą fi rankę widzieć sylwetkę pani domu.

— Ryzykowaliście więc jej życiem? — zdumiał się Karoń.

— Rozumiem wasze wątpliwości...

— Pozwól, Janku, żeby Laszlo opowiedział wszystko po kolei — powiedział Zaremba.

— Ryzyko było mniejsze, niż wam się wydaje. Zagrał tutaj pomysł.

Założyliśmy, że zbrodniarz, posługujący się bronią krótką, wykorzysta dla strzału chwilę, kiedy pani Kmetty będzie siedziała przy kolacji.

Jedynie wówczas mógł liczyć na celność strzału. I w tym momencie kończyła się dozwolona granica ryzyka.

Przewidywania nasze potwierdziły się całkowicie. Strzał padł w parę chwil po tym, gdy pani Halina zasiadła do stołu. Był celny...

— Jak to, więc pani Kmetty nie żyje? — gorączkował się Karoń.

— Nic podobnego, żyje. Pocisk ugodził manekin, na tym właśnie poległ cały pomysł! — ze słabo maskowaną satysfakcją powiedział kapitan Laszlo.

— Dalszy ciąg był już banalny: po strzale zbrodniarz rzucił się do ucieczki, nie chcieliśmy się pozbawić jego towarzystwa. Ręczę, że myślelibyście podobnie.

Niestety, napastnik był! zgoła innego zdania i na próbę dogonienia go odpowiedział -strzałami. Cóż mieliśmy robić? Celowaliśmy w nogi, lecz jak to u was się mówi

— pan Bóg kule nosi...

— Zbrodniarz nic żyje? — spytał z niepokojem w głosie Zaremba.

— Jest ciężko ranny w brzuch. Myślę jednak, że lekarz pozwoli z nim rozmawiać.

— Czy nazywa się Keller? — zapytał z drżeniem w głosie Karoń.

— Jaki Keller? — zdumiał się kapitan Laszlo. — Człowiek, który strzelał

przez okno do Haliny Kmetty i który leży obecnie w szpitalu Rokus kórház, strzeżony przez milicjanta, miał przy sobie paszport polski na nazwisko Ryszard Daniel.

Zarembę aż zatkało. Poczul, jak krew uderza mu do głowy. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Myśl pracowała ze zdwojoną szybkością. Daniel — to nazwisko wbiło mu się w pamięć na całe życie! Daniel ów młodzieniec schwyty w czasie krwawego

bandyckiego napadu w Warszawie w 1918 roku. Jedyny pozostały przy życiu członek bandy Koteckiego. Przecież był skazany na karę śmierci? Czemu teraz, po latach, znalazł się w Budapeszcie? Zaremba opanował się największym wysiłkiem woli. Czul, że głos mu drży, kiedy powiedział;

— Jeszcze przed chwila, zanim padło to pamiętne dla mnie nazwisko, ani ja, ani tym bardziej wy, nie mieliśmy pojęcia, jakie ma ono znaczenie dla sprawy i jakie otwiera perspektywy dla dalszego śledztwa.

...Koniecznie muszę z nim rozmawiać!

Kiedy obaj Polacy wysiadali z auta przed gmachem budapeszteńskiej komendy milicji, Zaremba, uprzedzając pytanie Karania, powiedział:

— Cierpliwości — wszystko, co dotyczy historii Daniela, a zaczęła się ona dla mnie przed piętnastu la-ty, a więc nie za twoich czasów, Janku, bo przyszedłeś do nas później, opowiem ci w sposobnej chwili.

MÓWI DANIEL

Dopiero po upływie trzech dni od czasu strzelaniny na Tarcali utę stan zdrowia Daniela poprawił się na tyle, że lekarz pozwolił na przeprowadzenie z nim wstępnej rozmowy.

Daniel, podobnie jak Zaremba, od razu przypomniał sobie wszystkie okoliczności pamiętnej rozmowy w Stołecznej Komendzie MO, przeprowadzonej w 1948 roku.

Z tego pierwszego przesłuchania w Budapeszcie powstał następujący obraz dalszych jego dziejów. W

notatkach spisanych na gorąco czytamy:

Zaremba — Jak to się stało, że człowiek, skazany prawomocnym wyrokiem sądowym na karą

śmierci, znalazł się obecnie w Budapeszcie podejrzany o popełnienie nowego czynu zbrodniczego?

Daniel — Bardzo proste: karę śmierci zamieniono mi na dożywotnie więzienie, a później skorzystałem z amnestii i z przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie.

Zaremba — Ile lat zatem przebywał pan w więzieniu?

Daniel — Dwanaście lat. Wyszedłem w jesieni 1960 roku.

Zaremba — Czy pan wie, o co pana podejrzewamy?

Daniel — Wiem... I nie mam zamiaru zaprzeczać czemukolwiek. Zastrzeliłem paru łajdaków.

Zaremba — Zapewne słyszał pan już, że ostatni zamach się nie udał? Halina Górslca żyje i nie została nawet ranna.

Daniel — To nieprawda!!! (Tu, jak zapisał Karoń, Daniel wydał nieartykułowany okrzyk świadczący o największym zdumieniu).

Zaremba — Niech się pan opanuje...

Daniel — Jak mogłem nie trafić?

Zaremba — Trafił pan, ale w zręcznie podstawiony manekin... Pan wybaczy...

Daniel — Skąd wiedzieliście, że będę się starał zabić Górską?

Zaremba — To już jest zasługa obecnego tu majora Karania, który kierował śledztwem po zabójstwie obu Górskich, — Po chwili Zaremba dodał: —

Zadziwia mnie pańska szczerłość. Przecież pan wie równie dobrze jak my, że nie mieliśmy wystarczających

dowodów na stwierdzenie, że zabójcą braci Górskich jest Ryszard Daniel.

Daniel — Czy pan choć przez chwilę mógł sądzić, że zachowam się teraz inaczej? Inaczej niż wówczas

—

przed piętnastu laty, kiedy nie ukrywałem charakteru i celów naszej działalności? Pamięta pan, że uchyliłem się to tedy od odpowiedzi na jedno tylko pytanie: dotyczyło ono prawdziwego nazwiska mego poległego zwierzchnika i serdecznego przyjaciela.

Zaremba — Kogo ma pan na myśli?

Daniel — Oczywiście Koteckiego vel Wójcika vel Kellera.

Zaremba — Kellera? Kntecki to Keller? Zdumiewające! O tym ani przez chwilę nie pomyślałem... Nie omyliłem się w jednym — Kotecki rzeczywiście miał klucz do tej sprawy. Ale nigdy, przenigdy bym się nie domyślił, że Kotecki należał do rodziny Górskich... Czatuję tutaj na mordercę, a on nie żyje już piętnaście lat. Piekielnie zręczna kombinacja.

Daniel — A pan wtedy — przy naszej pierwszej rozmowie — ironizował: niby organizacja...

Zaremba — Doskonała organizacja w nie istniejącej organizacji... Panie Daniel, postawię teraz zasadnicze pytanie: — Dlaczego zabijał pan Górskich?

Daniel — Bo świadomie wysłali na śmierć trzech młodych, wspaniałych chłopców...

Zaremba — Pan żyje.

Daniel — Żadna dla mnie pociecha. A mój utracony czas? Moje życie skończyło się naprawdę w 1948

roku. Wszystkie następne lata spędziłem na próbie rozwiązania dręczącej mnie zagadki, a później, kiedy ją rozwiązałem, na wykonaniu wyroków. Pan powie zapewne, że był to samosąd. Zgadzam się z tym, ale taką cenę musieli oni zapłacić.

Nawet bez ingerencji lekarza Zaremba i Karoń spostrzegli, że czas odłożyć badanie do jutra.

W toku dalszych przesłuchań odtworzono niektóre brakujące ogniwa długiego łańcucha wydarzeń,

jakie się rozegrały przed piętnastu laty i później — aż do dni ostatnich.

Daniel opowiedział o tych sprawach z największą szczerością nie licząc się ani trochę z tym, jaki to wywrze wpływ na jego dalsze losy.

Cofnął się więc aż do dnia rozbicia bandy Koteckiego. W ruinach domu przy ulicy Sadowej, gdzie rozegrał się tragiczny finał działalności bandy, Kotecki

— Wójcik — Keller, trafiony serią z pepeszy, w ostatnich chwilach swego życia szeptał gasnącym głosem do Daniela: „Lutyński nie żyje... Mnie zostało już tylko kilka chwil... Poddaj się... Nie masz żadnej szansy... Szkoda twego młodego życia... Pamiętaj o złożonej przysiędze, nie wolno ci podać mego nazwiska... Jest ktoś, kto się tobą zajmie w więzieniu... Jest ich troje...

Są mi najbliżsi... Zawsze możesz na nich liczyć... Wybacz, ale moje ślubowanie... nie mogę podać ich nazwiska".

W więziennej celi Daniel zaprzyjaźnił się z pewnym mężczyzną o imieniu Florian, który wskrzesił w nim nadzieję. Człowiek doświadczony, już niemłody, ale kochający życie i umiejący walczyć o jego ratowanie, napisał

Danielowi prośbę o ułaskawienie. Interwencja okazała się skuteczna. Wyrok śmierci został zamieniony na dożywotnie więzienie.

Daniel wiedział już teraz, że przyrzeczenie Kellera nie było majaczeniem konającego. Miał więc podstawy ku temu, aby wierzyć, że tajemniczy opiekunowie z czasem znowu dadzą znać o sobie.

Mijały jednak lata i nikt nie zajmował się jego osobą. Aż do dnia, kiedy na mocy amnestii zmniejszono mu karę do lat piętnastu. W tym też mniej więcej czasie, w innym więzieniu, spotkał znowu Floriana. Spróbował

wysondować tego człowieka. Chciał wiedzieć, dlaczego Florian pomógł właśnie jemu, a nie pomaga sobie samemu, skoro ma tylu oddanych i wpływowych przyjaciół poza murami więziennymi.

— Wpływowych przyjaciół? O czym ty mówisz, chłopcze? — zdziwił się Florian. — Gdyby tacy istnieli, nie gniłbym w tej dziurze. A z tobą sprawa jest całkiem prosta. Jesteś dobrym chłopcem. Polubiłem ciebie. Nie chciałem, żebyś tak głupio zginął.

Daniel był wstrząśnięty do głębi. A więc taka jest prawda! Oddalenie wyroku śmierci zawdzięcza nie

tamtym ze zwierzeń Kellera, ale podaniu przygotowanemu przez Floriana.

Przedterminowe zwolnienie zaś jedynie swemu poprawnemu zachowaniu się w więzieniu...

Nie potrafił jednak zrozumieć, dlaczego Keller wprowadził go w błąd. Jak mógł taki człowiek jak on kłamać w chwili śmierci! Po głębszym namyśle odrzucił tę hipotezę: Keller działał w dobrej wierze. To on został oszukany przez tamtych troje.

Teraz dopiero przyszedł czas na głębszą refleksję, na drobiazgowy przemyślenie wszystkich faktów i domysłów, dotyczących działalności grupy Koteckiego

— Kellera. W rozplątywaniu tego wężła pomagał mu Florian. To on zwrócił uwagę Daniela na kluczowe znaczenie epizodu z tajemniczym telefonem do władz bezpieczeństwa, który położył kres ich działalności.

Szukanie odpowiedzi na pytanie, dlaczego swego czasu, podczas śledztwa, Zaremba ujawnił mu ten fakt, wydawało się mniej znaczące niż ustalenie, kto i w jakim celu wtedy telefonował.

Bez wątplenia komuś zależało na gwałtownym przerwaniu ich działalności, nawet za cenę fizycznego unicestwienia całej trójki.

Komu mogło na tym zależeć? Kto z uwagi na warunki konspiracji i układ stosunków w organizacji

czuł

się zmuszony do zastosowania środka tak drastycznego?

Podejrzenia Daniela, poparte przez sugestie Floriana, coraz bardziej obciążały te osoby, o których przed śmiercią mówił Keller. Należała do nich, jak się zdaje, młoda i piękna dziewczyna, którą Daniel • widział

raz jeden w towarzystwie Kellera. I wtedy Keller odpowiedział tak jakoś dziwnie...

Oczywiście — tylko ktoś doskonale znający charakter młodych z grupy Kellera, ktoś zorientowany w ich pełnym oddaniu dla sprawy, ktoś, kto był

głęboko przekonany o ich absolutnej determinacji — mógł

mieć pewność, że przy konfrontacji z milicją ci sfanatyzowani młodzi ludzie będą walczyć do końca.

Tymi ludźmi — w najsilniejszym przekonaniu Daniela

— mogli być jedynie... I tutaj zabrzmiały mu w uszach ostatnie słowa Kellera; „Jest ich troje... Są mi najbliżsi... Nie mogę podać ich nazwiska”.

Co znaczy „są mi najbliżsi?”. Dlaczego mówiąc o ich nazwisku użył liczby pojedynczej?

Tak człowiek mówi tylko o swej rodzinie. A zatem... i Keller, i Jurek Lutyński i ja zostaliśmy skazani na śmierć przez troje rodzeństwa Kellera. Taka była prawda...

Daniel nie wiedział, jakie były motywy tej zdrady; wiedział natomiast i był przekonany do dzisiaj, że każda zdrada musi być najsurowiej ukarana, a w*

tej sytuacji jedynym mścicielem mógł być on tylko —

Daniel, jedyny pozostały przy życiu z trójki zdradzonych.

Po wyjściu z więzienia ustalenie personaliów rodzeństwa Górskich na podstawie tego, co wiedział z życiorysu Kellera, było już tylko kwestią czasu.

Więcej zachodu wymagało zdobycie broni, ale i z tym sobie poradził.

ZEZNANIE HALINY GÓRSKIEJ — KMETTY

Resztę spraw dotąd niejasnych mogła wytłumaczyć jedynie Halina Górską.

To uzasadniało kolejną wizytę u niej obu polskich oficerów milicji.

— Czy nazwisko Ryszard Daniel coś pani mówi? — spytał na wstępie rozmowy Zaremba.

Wbrew oczekiwaniom Górską odpowiedziała :

— Aż za wiele. Od dawna byłam pewna, że jeżeli kiedykolwiek ktoś natrafi na nasz ślad, będzie nim jedyny pozostały przy życiu członek grupy wykonawczej...

— Wykonawczej? Co pani przez to rozumie? Czy była jeszcze inna grupa?

— Odpowiem pytaniem na pytanie: czy Daniel żyje i czy złożył zeznanie?

— Tak! — I Zaremba spojrzał wyczekująco na Górską.

— Oczekuje pan zapewne również ode mnie — powiedziała po chwili — nie sprawię panu zawodu. Już od pewnego czasu odczuwałam potrzebę takich zwierzeń..

Zaremba pomyślał z zadowoleniem, że to wiadomość o zeznaniach Daniela musiała wpłynąć na zmianę postawy Górskiej. O ile przedtem ważyła ostrożnie każde słowo i celowo ukrywała swoją, jak i braci, rolę w tej sprawie

— o tyle obecnie doszła najwidoczniej do przekonania, że w zmienionej sytuacji przemilczenie czegokolwiek jest bezsensowne.

— Cale nasze dzieciństwo i wczesna młodość — rozpoczęła — upłynęły w niedostatku. Patrzyłam na wiecznie zapracowaną matkę, przedwcześnie postarzałą. Jej drugie małżeństwo niewiele zmieniło

sytuację materialną rodziny. Nasz ojczym, człowiek z gruntu uczciwy, lubił jednak zaglądać do kieliszka. Odmawiając sobie wszystkiego z największym wysiłkiem ukończyliśmy szkoły. Żyliśmy w biedzie, a wokół widzieliśmy sporo ludzi dorabiających się bez skrupułów w trudnych warunkach okupacyjnych i później — powojennych.

Nie pamiętam już, kiedy zaczęło w nas narastać przekonanie, że nie jesteśmy gorsi od innych i że nam

się coś więcej od życia należy. Dominujący wpływ na całe rodzeństwo miał najstarszy brat — Paweł. Był to człowiek obdarzony niezwykle siłą woli i wybujałą ambicją. Cechy na ogół dodatnie — u niego przerodziły się w wady, w jakiś niepohamowany pęd do osiągnięcia zamierzonego celu, bez liczenia się z kimkolwiek i z czymkolwiek.

On właśnie wysunął zbrodniczą myśl wzbogacenia się drogą rabunków zakamuflowanych pozorami akcji politycznej. Nikt poza nami trojgiem nie wiedział, że zespół dyspozycyjny ma charakter ściśle rodzinny, że Środki zdobywane przez grupę wykonawczą idą wprost do kieszeni trojga wtajemniczonych.

W końcu, początku miałam duże opory, później jednak, gdy wraz z zabójstwem milicjanta weszliśmy na drogę zbrodni, zrozumiałam, że nie ma już z niej odwrotu i że musimy iść tą drogą do końca...

Oświadczam kategorycznie, że nasz brat przyrębni, Janusz Keller, w najmniejszym stopniu nie zdawał

sobie sprawy z prawdziwego charakteru naszej „organizacji” i naszej działalności. W swej młodszej naiwności i w zaufaniu do starszego rodzeństwa uwierzył, że istotnie prowadzimy walkę polityczną i że zdobywane środki materialne jej tylko służą.

W tym miejscu Zaremba zapytał:

—

Czy dziewczyna z ulicy Radnej, złotowłosa piękność z kawiarni

„Kopciuszek” i Halina Kmetty to jedna i ta sama osoba?

— Byłam jedyną kobietą w grupie...

— Zaczynajmy więc od dziewczyny z ulicy Radnej. Dlaczego musiał wtedy zginąć sierżant milicji? Dla zdobycia broni jego śmierć nie była przecież konieczna?

— Krótce przed wejściem do fatalnej bramy milicjant mnie wylegitymował.

Sam pan rozumie, że w tej sytuacji...

— Paweł czy Piotr był wówczas z panią?

—

Naturalnie Paweł! On przecież od samego początku był inicjatorem i reżyserem wszystkich naszych poczynań.

— Przejdźmy teraz do kawiarni „Kopciuszek”. Kto pani wtedy towarzyszył?

— Średni brat, Piotr. Zapewne już pan się domyśla, że początkowo chcieliśmy zdobywać pieniądze za pomocą zręcznych podstępów. Zaczęło się to właśnie w „Kopciuszku”. Chodziło nam o psychologiczne sterroryzowanie kierowniczkę sklepu jubilerskiego. Wiedzieliśmy o niej wiele. Była przez nas od dłuższego czasu obserwowana. Staraliśmy się zawsze wygrywać naturalne ułomności ludzkiej natury.

O nieformalno-

ściach w sklepach tej branży mówiono wtedy głośno.

Powtarzanie sposobów tego rodzaju wymagało jednak i czasu, i zbyt wielu wysiłków. A Paweł przynaglał, zachęcony łatwym sukcesem. Trzeba więc było przejść do form bardziej drastycznych, coraz to bardziej ryzykownych i niebezpiecznych...

— Znam to nie od dzisiaj — powiedział Zaremba. — Kto wymachuje nabitym rewolwerem, ten w końcu zaczyna strzelać. Czy pamięta pani, kto grasował w mieszkaniu kierowniczkii innego sklepu — Zofii Kurkowej, wówczas, gdy przemocą zabrano jej klucze?

— Pamiętam, w napadzie tym brał udział Janusz i jego kolega Jurek.

— Tyle już pani powiedziała o grupie wykonawczej i jej działalności — zauważył Zaremba — czy zechciałaby pani sprecyzować warunki jej powstania i rolę, jaką odgrywał w niej pani brat Keller?

— O braku jakichkolwiek skrupułów u mego brata Pawła świadczy również to, że zapragnął wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Nie zawahał się nadużyć zaufania trzech niedoświadczonych życiowo chłopców. Wzniosłe cele jakie Paweł im zasugerował i dla których w swej niewiedzy i lekkomyślności byli gotowi poświęcić nawet życie, stanowiły przecież fikcje. Nigdy nie wybaczyłam mu tej nikczemności..

— Jak mógł Janusz — chłopiec bystry, inteligentny, myślący — dać się tak łatwo złapać na tę grubymi nićmi szytą intrygo?

— Paweł znał Janusza od dziecka. Mógł przewidzieć każdą jego reakcję.

Zręcznie wykorzystał niewyżyte pragnienie walki zbrojnej. Janusz na skutek różnych okoliczności nie został w czasie okupacji wciągnięty do ruchu oporu. Przeżywał to bardzo głęboko.

I oto starszy brat odsłania przed nim perspektywę takiej walki. Janusz zbyt słabo orientował się w nowej sytuacji. Nie rozumiał skomplikowanych procesów, zachodzących w kraju. Inspiracja Pawła trafiła na podatny grunt.

Januszowi zdawało się, że slanał po właściwej stronie barykady, a w istocie rzeczy jakże tragicznie się mylił! Nie było przecież w tym wypadku ani żadnej barykady, ani żadnej organizacji, ani żadnej walki o wymarzone przez Janusza wyższe cele. Była natomiast — powiedzmy sobie dziś prawdę —

zwykła banda rabusiów. Na szczęście dla siebie Janusz nigdy się o tym nie dowiedział.

Janusz w najlepszej wierze, aż do dnia swej klęski, sumiennie i gorliwie wykonywał zleczone przez Pawła zadania, spełniając dwie funkcje. Był więc przywódcą grupy ekspropriacyjnej i zarazem jedynym łącznikiem z naszym zespołem, który Paweł w celach kamuflażu i mistyfikacji nazwał „ośrodkiem dyspozycyjnym". Jak już powiedziałam. Janusz nawet się nic domyślał, że poza trojgiem Górskich była próżnia.

Pozostali dwaj chłopcy w trójce Janusza, a więc Ryszard Daniel i Jerzy Justyński, których Janusz właśnie wciągnął do działania, kierowali się tymi samymi przekonaniem i motywami, nie wiedząc jednak absolutnie n i c o istnieniu przyrodniego rodzeństwa Kellera.

— No dobrze — wtrącił Zaremba — rozumiem, że rabowane przez grupę Janusza kosztowności trafiały do rąk Górskich. Ale jak wam się udawało podtrzymywać w tych chłopcach przekonanie, że są one rzeczywiście obracane na akcję wywrotową?

— Zapomniał pan o sprycie i pomysłowości Pawła, który potrafił umiejętnie zapisywać na nasze konto głośne w tych czasach akcje autentycznych organizacji podziemnych. Poza tym działaliśmy przecież bardzo krótko —

zaledwie dwa miesiące — co również znakomicie ułatwiło nam dezinformowanie Janusza i jego chłopców.

Słuchając uważnie tych wyjaśnień Zaremba już od dłuższej chwili zastanawiał się nad sformułowaniem

pytania, które wydawało mu się teraz najważniejsze. Wreszcie zdecydował

się:

— Kto z was zadenuncjował przez telefon Janusza i jego grupę? — zapytał wprost.

—

O, to dłuższa historia — odpowiedziała Górska.

— Wbrew naszym planom rozwój wydarzeń zaczął

przybierać charakter niepożądany. Zranienie kierownika sklepu we Wrocławiu, dotkliwe pobicie kobiety w jej mieszkaniu wskazywały, że nasze akcje zamieniają się nieuchronnie w mokrą robotę. Niepokoiło to coraz bardziej i mnie, i Piotra. Stanęliśmy przed trudnym dylematem: jak bezboleśnie wycofać się z tego interesu? Zawsze przedsiębiorczy Paweł

obiecał, że jakoś to załatwi...

Bardzo szybko dowiedzieliśmy się o tragedii na ulicy Sadowej. Domyśliliśmy się, że to wynik interwencji Pawła. W żadnym razie ja i Piotr nie tak wyobrażaliśmy sobie wycofanie się z akcji! W łonie naszej trójki zarysował

się konflikt nie do przewyciężenia. Brutalność i nikczemność Pawła przeraziła nas. Zrozumeliśmy, że niezwłocznie musimy zerwać z nim wszelkie więzy. Ale to wcale nie było takie proste. Groziło nam podwójne niebezpieczeństwo. Ze strony Pawła mogliśmy spodziewać się wszystkiego. A tutaj chodziło już o jego własną skórę.

— Sądzi pani, że mógł z kolei i was zlikwidować? — przerwał Zaremba.

— Owszem, byłam i jestem tego pewna.

— Wspomniała pani o dwóch niebezpieczeństwach...

— wtrącił milczący dotąd Karoń.

— Wiedzieliśmy już wówczas, że ktoś z grupy Janusza ocalał. A może to jest właśnie Janusz? Skąd pewność, że będzie milczał, jeżeli milicja powie mu o zdradzieckim telefonie i innych historiach.

— Ale później poznaliście prawdę? — podchwycił Zaremba.

— Ta nowa wiadomość wzbudziła we mnie, a sądzę, że i w Piotrze, mieszane uczucia. Ciężko przeżywaliśmy śmierć Janusza, a jednocześnie odczuwaliśmy ulgę! Nie było już nikogo, kto by znał tajemnicę Górskich!

Kiedy nabraliśmy przekonania, że Daniel żyć będzie — pewność nasza została

zachwiana. Przecież ludzie skazani na dożywocie również mogą opuścić więzienie. A później po nitce do kłębka... Tak czy inaczej nasz stosunek do Pawła był już zdeterminowany. Ja skorzystałam nadarzającej się sytuacji i wyjechałam z Polski — na zawsze. Piotr znalazł zapomnienie w nauce, później — w pracy, zamknięty w sobie, swe zainteresowania skupił na kolekcjonowaniu obrazów. Na cel obracał wszystkie posiadane środki Majora Karania zaintrygował pewien szczegół w opowiadaniu Górskiej:

—

Rozumiem, że w układzie dwoje przeciwko jednemu zerwaliście wszelkie stosunki z Pawłem. Nie pojmuję natomiast, że podobnie postąpiła pani z Piotrem.

— Postać Piotra była dla mnie przypomnieniem i wyrzutem. Właśnie dlatego nie pojechałam nawet na jego pogrzeb.

— Domyśliłem się, że pani wiedziała o tragicznej śmierci średniego brata — powiedział Karoń. — Czy pani teraz rozumie, jakie to miało skutki dla Pawła?

— O czym pan mówi?

— Przecież zabójstwo Piotra musiało być dla pani sygnałem?

— Dopiero po zabójstwie Pawła uświadomiłam sobie, że i Piotr padł z ręki mordercy.

— Zdaje się, że wszystkie okoliczności tej zawiłej sprawy zostały już wyjaśnione — powiedział Zaremba do Karania.

— I ja tak myślę — odpowiedział major.

Obaj oficerowie spojrzeli na podejrzaną. W jej oczach odczytali pytanie: „A co będzie ze mną?”

—

Pani już teraz, a Daniel po wyzdrowieniu zostaniecie ekstradowani do kraju i tam staniecie przed sądem — poinformował tonem urzędowym Zaremba.

— Bardzo żałuję, ale pozostało mi już tylko parę tygodni życia: białaczka. A oto opinia lekarzy.

Przykro mi, że sprawiłam panom zawód...

Ostatnia rodzina Górskich nawet bez

interwencji Daniela podzieli los swych braci — pomyślał

doznając mieszanych uczuć Zaremba, a głośno

powiedział:

— Pani pozwoli, że zatrzymam ten dokument...,

—

Popatrz, jaka ironia losu — rzekł w zadumie Zaremba, gdy znaleźli się na ulicy — Daniel potraktował obu braci z jednakową bezwzględnością, a Piotr przecież o tyle mniej tu zawinił.

— Tak to już w życiu bywa — powiedział filozoficznie Karoń.

KONIEC